

GDZIE SĄ PŁYTKI CERAMICZNE

MARIA I IRINA

poker  
o życie

# ODGŁOSY

ROK XIX, Nr 41 (983)

7 PAŹDZIERNIKA 1976 R.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REPORTAŻ

RYSZARD BINKOWSKI

# CHOROBA NA FUTRO

Ziemia po zburzonych domach jest nabita odłamkami gruzu, rozjeżdżona gąsienicami. Błądzą, szukam numeru sto pięćdziesiątego, ale tego domu na rogu Zgierskiej i Pojezierskiej już nie ma. Są komórki i jakaś przytulna ruderka, skromnie przycupnięta pod ścianą wieżowca. Ukryta wstydliwie za gałęziami wisi tabliczka z napisem: Krajowa Spółdzielnia Hodowli Drobnych Inwentarza. A naprzeciw, za smutnym podwórkiem, stoja drewniane szraczki.

Widoczek nie licuje z marką firmy, która robi dla kraju ciężkie dewizy. Dyrektor, Michał Klimczak, zerka na mnie z ironią spod ciemnych okularów:

— Modernizacja, proszę pana. Przyszły spychacze, zmiotły komórki, budynek zatrzęszał, ale się ostał. Mieszkamy...

— Na długo?  
Klimczak szuka poprzez urzędniczkę jakichś papierów. Jeden jest, pismo z dnia 25 marca bieżącego roku, skierowane do Zarządu Dróg i Mostów w Łodzi. Dyrekcja łódzkiego oddziału Krajowej Spółdzielni Hodowli Drobnych Inwentarza pisze w swej petycji, że teren wokół ich siedziby został ogłocoony, nie ma wody, bo usunięto hydranty uliczne, widok jest żalospny, chcieliby chociaż ogrodzić, więc pytają, czy warto, bo przecież może pójść dalsze wyburzenie. Zarząd Dróg i Mostów dał odpowiedź enigmatyczną — żartobliwą. Ze wyburzenie jest przewidziane, ale albo za rok, albo za piętnaście lat... Na wszelki wypadek jednak Spółdzielnia powinna... szukać i zapewnić sobie lokal zastępczy...

Przez podwórko, między szraczkami i budynkiem Krajowej Spółdzielni, ma być poprowadzona jezdnia. Jak dobrze pójdzie, to się Klimczakowi wytłuka na śmierć wszyscy urzędnicy, kiedy zaczną przebiegać przez jezdnię do stojących na trawniku ustępów.  
Ale wracajmy do rzeczy. Hodowcy i władze zwierzchnie twierdzą zgodnie, iż Michał Klimczak jest jednym z najlepszych organizatorów spośród czterdziestu dyrektorów oddziałów Krajowej Spółdzielni. Nic dziwnego, w lepszych czasach sam prowadził fermę, przeto wszelkie smutne i wesołe sprawy hodowców zna na wylot.

— W czterech województwach — łódzkim, świętokrzyskim, piotrkowskim, sieradzkim i skierniewickim — mówi Klimczak — mamy 670 hodowców.

Hodują tchórzko-fretki, króliki, nutrie, w mniejszej ilości szynszyle. Ponadto drób i gołębie ozdobne. W bieżącym roku z podstawowego stada 5700 samic lisich, niebieskich i srebrzystych, będzie można otrzymać około 25 tysięcy skór, a z 3000 samic nerek — osiem tysięcy skór. Kontrakcją skór zajmuje się Łódzkie Przedsiębiorstwo Skupu Surowców Włókienniczych i Skórzanych. W tym roku po raz pierwszy zakontraktowano 500 skór nutrii i 350 skór tchórzofretki.

— Kto się zajmuje hodowlą?  
— Cieszy fakt, że coraz częściej hodowlę traktuje się jako zajęcie zasadnicze. Na przykład w naszym regionie takich hodowców jest około 18 proc., podczas gdy w skali krajowej tylko 7 proc. Większość, bo około 90 proc. hodowców zajmuje się tą pracą od kilkunastu lat, choćby taki Antoni Spiewak z Piotrkowa (norki) czy Jan Oleśko z Pabianic, hodujący lisy i norki. Hodowców królików jest tylko czterdziestu, większość zajmuje się lisami i norkami. Hodowcami są zarówno rolnicy, jak i pracownicy innych zawodów, tak fizycznych jak i umysłowych.

— To brzmi optymistycznie. Ale czy, generalnie rzecz biorąc, ilość hodowców zwiększa się czy zmniejsza?

— Maleje...  
— Dlaczego?  
— O to niech pan zapyta hodowców...

2.

Tylko piąta część hodowców para się wyłącznie hodowlą. Wśród pozostałych hodowców można znaleźć inżynierów, dyrektorów, lekarzy. To wokół nich narosły mity o zbijanych na zwierzętach futerkowych kokosach. Jeśli hodowcy profesjonalistycznie zarabiają zmięte stado, cierpi on i jego rodzina. Pan lekarz mniej traci, ponieważ ratuje go pensja i inne dodatkowe przychody. Pan inżynier nie musi być jako hodowca ubezpieczony, ponieważ ubezpieczenie zapewnia mu zakład pracy, w którym jest zatrudniony. Do hodowców — urzędników, inżynierów, lekarzy państwo nie musi dokładać, a produkcja zwierząt futerkowych rozwija się.

Dalszy ciąg na str. 7



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# W STRONĘ MORZA

— Jak będziesz w Gdyni — powiedział mi znajomy — to wpadnij do hal targowych. Tam można kupić wszystko, albo prawie wszystko.

Była to dobra rada. Poza tym logiczna. Skoro Gdynia jest portem, to musi tam bujnie kwitnąć handel. Zwiedziłem — oczywiście — gdyńskie targowisko. Jest niewątpliwie bogatsze od wielu innych w kraju, ale zdarzało mi się już widzieć ciekawsze. Wdzięczny jednak jestem mojemu znajomemu za taką radę, bowiem dzięki niej uświadomiłem sobie ewolucję jaką w naszej świadomości dokonało pojęcie „Gdynia”.

Gdynia była kiedyś symbolem. Materialnym dowodem możliwości, jakie tkwiły w polskim narodzie. Była nowoczesnym miastem Polski międzywojennego dwudziestolecia. Miastem wybudowanym od nowa, w miejscu kaszubskiej wsi rybackiej. O Gdyni pisano wiersze.

„Więc kranami nachylone  
Do słonego wodopoju,  
Słyszysz, miasto, jak przysięga  
Bijać młoty Gdyniostroju?”

To Julian Tuwim. O Gdyni pisali też między innymi: Maria Dąbrowska, Melchior Wańkiewicz, Władysław Orkan, Adolf Nowaczyński, Wacław Sieroszewski, Kazimierz Rusinek, Zbigniew Uniłowski...

Do Gdyni jeździły pielgrzymki. Jedni jechali tam w poszukiwaniu pracy. Inni, aby podziwiać rozmach, być świadkiem stawiania się miasta. Do Gdyni — kiedy rozpoczęła się jej budowa — tłumnie jeździli gdańszczanie, aby... pośmiać się. W Gdańsku nie

wierzono bowiem, aby Polacy zdolni byli do wybudowania portu i miasta. Gdańszczanie nie potrafili docenić polskiej inicjatywy. I w 1933 roku port gdyński osiągnął już obroty w wysokości 6,1 miliona ton, dystansując tym już nie tylko port w Gdańsku, ale też porty w Sztokholmie i Kopenhadze. I kiedy we wrześniu 1939 roku władze nad polskim portem w Gdyni objął niemiecki komandor, powiedział on polskiemu inżynierowi po zwiedzeniu portu:

— Panowie, będę miał przyjemność zameldować Führerowi, że oto Niemcy otrzymały najnowocześniejszy swój port.

Był to wielki dowód uznania, tylko że wyrażony w najmniej odpowiednim momencie i przez najmniej odpowiedniego człowieka.

Do Gdyni jeździło się jeszcze po wojnie. Miasto było niezniszczzone, a Gdańsk leżał w gruzach. Ale wejście do gdyńskiego portu blokował wrak niemieckiego pancernika „Gneisenau”. Do Gdyni jeździło się podziwiać przed-

Dalszy ciąg na str. 5



## INFORMACJE

### „CHŁOPI” W TELEWIZJI RADZIECKIEJ

Radziecka telewizja rozpoczęła nadawanie w programie centralnym polskiego serialu „Chłopi”. Pierwszy odcinek cyklu poprzedzony został przedmową wprowadzającą widzów w problematykę tego utworu. Przedstawiono także wywiad z reżyserem filmu — Janem Rybkowskim.

### NOWY NABYTEK MUZEUM FARMACJI

W Krakowie znajduje się jedyna w kraju i jedno z nielicznych na świecie Muzeum Farmacji. Działające od 30 lat muzeum dysponuje m. in. zbiorem rękopisów i medalów po nestorze polskiej farmacji Ignacym Łukasiewiczem. Ostatnio muzeum wzbogaciło się o ponad 800 włoskich, holenderskich i angielskich naczyń aptecznych z XVII wieku.

### WITRAŻE DLA ZAMKU KROLEWSKIEGO

Sztuka wyrabiania witraży sięga w Toruniu XIII wieku. Tradycje te kontynuuje jedna z nielicznych w kraju toruńskich pracowni witraży. Powstają w niej nowe witraże, a starym przywraca się dawną świetność. Dziełem toruńskich mistrzów będą nowe witraże dla Zamku Królewskiego w Warszawie. Przygotowują oni około 2 tys. m. kw. szklanej płaszczyzny, na której znajdują się kompozycje oparte na motywach historycznych.

### FILM POLSKO-RADZIECKI

Podolsk — 200-tysięczne miasto rejonowe leżące niedaleko Moskwy jest tematem powstającego obecnie polsko-radzieckiego filmu telewizyjnego. Realizuje go Stanisław Kostorzewski z polskiej telewizji przy współpracy Pawła Smolnikowa z Agencji Prasowej „Nowosti”. Autorem zdjęć jest Jan Popczyk. Realizatorzy filmu chcą pokazać polskiemu widzowi obraz Podolska — typowego przemysłowego miasta radzieckiego, warunki, w jakich żyją tu i pracują ludzie.

### PRZEGLĄD FILMÓW MUZEALNYCH

W dniach od 13 do 15 października br. odbędzie się w Kielcach IX Przegląd Filmów Muzealnych, którego inicjatorem i organizatorem jest Kielce Muzeum Narodowe. Tematem tegorocznego przeglądu jest „Monografia artysty, monografia dzieła”. Stosownie do tematu zostaną zaprezentowane podczas przeglądu filmy przedstawiające sylwetki artystów, ich poglądy i warsztat twórczy.

### KONKURS NA PRACE O TEMATYCE PARTYJNEJ

Redakcje „Trybuny Ludu”, „Życia Partii” oraz wydawnictwo „Książka i Wiedza” ogłosiły konkurs na reportaże, eseje i inne formy publicystyki prasowej o tematyce partyjnej.

Konkurs jest otwarty i może wziąć w nim udział każdy publiczny. Poście nadesłanych materiałów jest dowolna. Nadsyłane prace nie mogą być dotychczas opublikowane. Objętość prac dowolna, jednak nie mniejsza niż 5 i nie większa niż 20 stron maszynopisu. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 października 1976 r.

Prace należy nadsyłać w 3 egzemplarzach pod adresem RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, ul. Smolna 13, 00-375 Warszawa — z dopiskiem na kopercie: Konkurs „Trybuny Ludu”, „Życia Partii”, „Książka i Wiedza”.

Szczegółowy komunikat o warunkach konkursu został zamieszczony w sierpniowym numerze miesięcznika „Życie i Partia”.

## REFLEKSJE

W niewielkich miastach każdy nowy zakład, fabryka czy spółdzielnia pracy powstają w atmosferze wzmożonego zainteresowania. Bo to i nowe miejsca pracy, nowe akcenty przemysłowe w małomiasteczkowym pejzażu, czynnik miastotwórczy. Zwykle przeciętne wstęgi poprzedzają usilne starania władz miejskich, przetargi o limity inwestycyjne, naciski na wykonawcę, by w terminie oddał obiekt do eksploatacji.

W tym stereotypie uprzemysławiania prowincji prawie nie się nie zgadza, gdy prześledzi się krótkie koleje losu wieloletniego „BUDOMASZU”. To mnie właśnie od dawna intrygowało, i przy okazji — pojechałem, i przy okazji — pojechałem, nie z winy pamięci, ale zmian, jakie tu w ciągu ostatnich lat zaszły.

Najpierw pobłądziłem jadąc starą drogą z Wielunia do cukrowni. Okazało się, że kilkaset metrów dalej jest szeroka asfaltowa jezdnia, prowadząca nie tylko pod „Budomasz”, ale będąca jakby osią, jeszcze nie do końca drogą — nowej, przemysłowo-magazynowej dzielnicy Wielunia. Po wizycie w Zakładzie Urządzeń Galwanicznych i Lakierniczych — który stał się szlagierem nr 1 nie tylko województwa sieradzkiego, nie mnie już nie powinno dziwić, ale nie obroniłem się przed zaskoczeniem. Pamiętałem przecież, jak on — jeszcze jako „TECHMONT” — zaczęli w chałupie Pągowskiego, koło przejazdu kolejowego. (To nie przenośnia, dosłownie była to niewielka jednopiętrowka, jakaś szopostodoła i ogrodzone sztachetami podwórko). A tu teraz rozciąga się przede mną widok dużego, nowoczesnego zakładu, terenu zagospodarowanego porządnie i estetycznie. Powie ktoś: banalna sprawa. Nie było nic, jest spora rzecz. Jak wszędzie w kraju. I to prawda, banal, który chwalebny, jako Polaka, satysfakcjonuje.

Mamy tu jednak do czynienia tylko z efektem typowym, natomiast droga do niego była już oryginalną specjalnością kilku tutejszych entuzjastów z dyrektorem Zdzisławem Adamczykiem.

\*\*\*

Dokładnie od połowy lat sześćdziesiątych datuje się szybki

rozwoj produkcji urządzeń technologicznych. Szybki, to znaczy wcale niełatwy. Producceni nie mogli sprostać zapotrzebowaniu, znaczny wysiłek wkładając w montaż urządzeń i ich ruch. Było to jeszcze przed przerwami ekspansją przemysłu maszynowego, ale skala poszczególnych przedsięwzięć była duża. Do tego dochodził spory import urządzeń, które także ktoś musiał w kraju montować. Przyjęto wtedy koncepcję rozdzielania zadań: jedne zakłady produkują, inne specjalizują się w montażu. Koncepcja logiczna, ale praktyka ją zweryfikowała, a „nie”. Tak czy inaczej, dzięki niej powstał „Techmont”. Bez

powołano przez pomyłkę. Zrezygnował z funkcji, a na jego miejsce powołano inżyniera Jerzego Byrceka — nie czekali aż ktoś z ministerstwa lub zjednoczenia postawi pytanie: co dalej, towarzysze? Pogrudniowe zmiany, run inwestycyjny stwarzały nowe, nieco odmienne możliwości. I tak od świadczenia usług przeszli do produkowania elementów konstrukcji stalowych, a wiadomo, że budowa zakładów przemysłowych na tym stoi. To właśnie dało szansę rozwojowi zakładu. Montaż pozostawił producentom, wzięli się za roboty, których dotąd nikt metodami przemysłowymi nie prowadził. A więc produkcja i mon-

dzielo — mówi inż. Stasiak — jedźmy do „Polmo” w Praszce.

Rzeczywiście to niedaleko i na tej budowie, wspomagając firmy „Mostostalu”, doświadczają próby najwyższego rzędu.

Nie pojechaliśmy, ale w dwa dni później rozmawiam z Zbigniewem Siatkowskim, dyrektorem do spraw inwestycji „Polmo”. A przede wszystkim chciwi ogromną halę, o powierzchni niżej mierzony nie w metrach kwadratowych, lecz hektarach. Inż. Siatkowski nie ukrywa, że były wątpliwości (a nawet sprzeczności), żeby budowę tak dużego obiektu powierzyć wielu-

JERZY WAWRZAK

## DZIECKO PRZYPADKU — WCALE UDANE

przecinania wstęg, halasu w prasie. Trochę jakby metodą podziału, bo sporo ludzi przeszło z sąsiedniego ZUGIL-u, przesyła dalej pracując głównie na jego potrzeby oraz świebodziekiej Eltremy.

Dziwne to właściwie było przedsiębiorstwo. Nic z klasycznego wyobrażenia: hale fabryczne, biura, magazyny, bo właściwa działalność — montaż urządzeń — odbywała się w całej Polsce, na licznych placach budów, w nowych i modernizowanych zakładach.

Przyjęte założenie rozdziału produkcji od montażu nie wytrzymało próby czasu, ale siłą rozprędu to quasi-przedsiębiorstwo przetrwało do 1971 roku. Rozrosło się przez ten czas, okrzepło i już tym ludziom, kierownictwu i zarządzie nie można było powiedzieć, że ich zakład

taż (już własnych) konstrukcji, modernizacja urządzeń, np. kotłowni, budowa zaplecza remontowego dla motoryzacji (SOS), produkcja urządzeń wentylacyjnych itp. Wszystkie te prace, ogromnie ważne, potrzebne, deficytowe w ogólnokrajowym bilansie potrzeb. I to wszystko zadecydowało, że zakład wyrósł w rekordowym tempie i ma przed sobą spokojną przyszłość.

Naczelny pojechał z „Pociągłem Przyjaźni” do ZSRR, techniczny na konferencję, wpadł się tylko przywitać. Ale mam dobrego opiekuna, Stanisława Stasiaka, dyrektora produkcji, który po starej znajomości chętnie podejmuje się roli przewodnika po „budomaszowskich” sprawach. Podkreślam — sprawach, bo zakład nadal zachował po części swoją specyfikę. Z 750-osobowej załogi tylko część pracuje na miejscu.

— Chcesz zobaczyć nasze

skiemu „Budomaszowi”. On o sobiście miał zaufanie i okazało się ono korzystne dla obu stron. W terminie, choć nie obyło się bez zacięć i trudności, zadanie zrealizowano — prawie 2000 ton (!) konstrukcji.

Myślę, że ryzyko zaufania „Budomaszowi” nie było tak duże. Bo z dotychczasowych zadań wywiązywali się bez zarzutów. I to też na inwestycjach priorytetowych: hali odlewni w Skoczowie (filii FSO Bielsko-Tycho), w Tychach (konstrukcja hali dla małego fiata). (Korzyść z tego przy okazji: kilkadziesiąt przydziałów małego fiata dla wyróżniających się pracowników). Obecnie koncentrują swe zadania w Strzelcach, w Fabryce Maszyn Rolniczych, gdzie budują halę dla montażu kombinacji ziemniaczanych oraz w Będzinie — współdziałając w budowie elektrociepłowni (obiekt związany z hutą „Katowice”).

## LISTY

### „BIBLIOTERAPIA”

Napisany z zacięciem satyrycznym godnym Cwika artykuł Włodzimierza Krzemieńskiego „Biblioterapia” z nr 38 Odbiosów wymaga jednak komentarza „bibliotekarskiego”. Ustawa o bibliotekach z 9 kwietnia 1968 roku stworzyła podstawy prawne rozwoju bibliotek szpitalnych i współdziałania bibliotek publicznych ze szpitalami i zakładami lecznictwa zamkniętego (Art. 28 „Szpitale i inne zakłady zamknięte służby zdrowia i opieki społecznej” zobowiązane są zapewnić pacjentom obsługę biblioteczną odpowiadającą ich potrzebom kulturalnym i zdrowotnym”). Znaczenie po Ustawie ożywiło w tej dziedzinie nie rozwiazano oczywiście istniejących ogromnych potrzeb i poważnych niedoborów.

Za przykład między innymi może posłużyć i nasze miasto. Badania przeprowadzone w roku 1968 z ramienia Okręgu Łódzkiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich przez Elżbietę Jankowską wykazały, iż spośród 34 ankietowanych placówek 7 nie posiadało bibliotek dla chorych, 25 księgozbiorów zaliczono z funduszu Wydziału Zdro-

wa, jeden przez Radę Miejscową. Zasoby na ogół niewystarczające, warunki lokalne bardzo trudne. Tyłko w 7 placówkach zatrudniano bibliotekarzy lub referentów k.o., pozostali zajmowali się dorywczo pracownik Służby Zdrowia lub administracji. Zainteresowanie czytelnictwem chorych ze strony szpitali i personelu lekarskiego było bardzo słabe. Obecna sytuacja wywołuje poprawę.

W wyniku porozumienia między Bibliotekami Dzielnicowymi Łódź-Górna, Polesie, Śródmieście, Włocławek z dyrekcjami poszczególnych szpitali zorganizowano na ich terenie biblioteki publiczne obsługujące chorych i personel. Najwcześniej, bo od maja 1973 r. zaczęła działać 18 RBP Dz. Górna zlokalizowana w dwóch pomieszczeniach Szpitala im. Kopernika. Biblioteka posiada przy prawie 10 tys. woluminów 2 Oddziały: w Szpitalu Onkologicznym i Oddziałku Rehabilitacji Kardiologicznej. O 18 RBP pisze właśnie Włodzimierz Krzemieński. Ze względu na organizacyjnych chorych nie było imieli bezpośredni dostęp do biblioteki. Obecnie się to zmienia.

Książki na każdym z 10 oddziałów dowożone są pacjentom dwukrotnie w ciągu tygodnia przy pomocy specjalnego wózka, na którym mieści się blisko 100 woi. Pozytywnie z księgozbioru mogą otrzymywać chorych za pośrednictwem zapotrzebowania wpisywanych do zeszytu dezycydatów oraz katalogów umieszczonych na oddziałach. W roku 1975 zarejestrowano 4 329 czytelników i 36 tys. wypożyczeń, niezależnie od osobno prowadzonej przez szpital biblioteki fachtowej. Przy obowiązkach zawodowych jakie nasuwa tak duży księgozbiór i jego wykorzystanie w warunkach specjalnych za dowolność poetyczna należy uznać informację autora artykułu o nuzdzeniu się bibliotekarzy.

W 11 RBP Dz. Polesie, zlokalizowanej od 1 grudnia 1973 roku w Szpitalu im. Piłsudskiego udośćpnia się książki w dużej skali na parterze oraz obsługuje chorych na Oddziałach (w roku 1975 ok. 4 tys. woi., 1,27 czytelników, ponad 18 tys. woi., 1,27 czytelników). Szpital im. Barlickiego oddał do dyspozycji 11 RBP Dz. Śródmieście jedno nieduże pomieszczenie w budynku gospodarczym na II piętrze. Chorym mogą dotrzeć do biblioteki tylko przechodząc przez podwórko. Z powodu braku windy bibliotekarka nie używa wózka lecz w wyznaczonych godzinach donosi na oddziały książki w torbie i realizuje zamówienia zbieżne przez pielęgniarki. Sytuacja biblioteki może zmienić się jedynie po remoncie generalnym szpitala w roku przyszłym. Mimo pełnego zżyczenia i ustosunkowania się do sprawy dyrekcja szpitali im. Pa-

steura i im. Sonnenberga mogły umieścić księgozbiory bibliotek publicznych tylko w świetlicach dla chorych, w których także odbywają się ćwiczenia ze studentami. Jednak możliwość zastosowania wózków pozwala dotrzeć z książkami do chorych w tych niezbyt dużych szpitalach w każdy dzień urzędowania bibliotekarek. Powołane zabieg Dyrekcji Biblioteki Publicznej Łódź-Polesie o wygospodarowanie pomieszczenia na księgozbiory Szpitala im. Curie-Skłodowskiej i im. Madurwicza nie dają ciagle rezultatu. Prowadzone fachowo zasobne własne biblioteki Szpitali im. Babińskiego i Centralnej Kliniki WAM udośćpniają książki chorym głównie w swoich lokalach a w Szpitalu im. Brudzińskiego poprzez punkty oddziałowe pod opieką pielęgniarek.

Nie tylko przy Międzynarodowej Federacji Stowarzyszenia Bibliotekarskich IFLA i przy Deutscher Bibliotheksverband działają sekcje bibliotek szpitalnych. Od kilku lat działa także taka sekcja przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Zorganizowała ona już 3 ogólnopolskie konferencje, z których ostatnia na temat pt. Psychoterapeutyczna funkcja sztuki odbyła w 1974 r. w Cieplicach zgromadziła lekarzy, psychiatrów, bibliotekarzy, muzyków. W niektórych zakładach neurologicznych i psychiatrycznych terapia zajęciowa, malarstwo, muzyka, książka odgrywa znaczącą rolę w programie rehabilitacji chorych. W r. 1968 ukazały się: praca W. Kozakiewicz „Czytelnictwo chorych” i ze-

Jak widać z tej prezentacji zadań, są one bardzo zróżnicowane. Produkcja elementów, konstrukcji, montaż, modernizacja i remonty urządzeń energetycznych, budowa stacji obsługi samochodów. Zadania w skali kraju w tym zakresie bilansują przemysł maszynowy i budownictwo. I nie w pełni ten bilans potrzeb pokrywają możliwości. „Budomasz” operuje właśnie na tym styku, na polu w pewnym sensie nieczyim. Kto ma możliwości, ten dostaje robotę, jest najmniej wdzianym sojusznikiem. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, żeby zakład nadal dynamicznie się rozrastał. A jak ich znam, kolejnego skoku dokonają bez szumu i deklaracji. To, co już stoi, zbudowali prawie sami, własnymi brygadami. Tak i na obwo będą w przyszłości. Obok ZUGIL-u, potentata na krajową i europejską skalę, trochę w jego cieniu, wyrasta w Wieluniu zakład z przyszłością. Zakład, który swój start zawdzięcza garstce zapaleńców, umiejętnie wykorzystujących możliwości, skutecznie omijających zagrożenia wynikające ze zmian koncepcji, rozumiejących doskonale, do czego dążą. I mają to w garści. Z udało się przede wszystkim zintegrować kilkuset ludzi (i to fachowców przedniej marki) wokół zadań nielatających, realizowanych na miejscu i na budowach w całej Polsce. Ci zwłaszcza, skazani na koczownicze życie, trudne warunki, oddalenie od rodzin, prowadzenie „dwóch domów”, muszą wykazywać wiele hartu i przywiązania do swojej pracy. Bo sądzą, że nie trzymają ich tutaj wyłącznie wysokie zarobki — średnia około 5 tys. zł — ale coś więcej. Brygadziści: E. Adamczyk, Lemiński, Fajrowski, robotnicy: Sieradzi, Nielsony, Ryng — to tylko garstka tych najlepszych z najlepszych. Wiele by tu trzeba było powiedzieć o operatywności służb pomocniczych, którym nie obce są i metody zaprezentowane w filmie „Uszczelka”. Wszystko jedno, działają skutecznie. I ta skuteczność działania „Budomaszu” jest najważniejsza. A nawet znajdując czas, by w czynnie społecznym dla wieloletniego amfiteatru zbudować całkiem zgrabną, nowoczesną konstrukcję.

IZABELA NAGÓRSKA  
Przewodnicząca Stowarzyszenia  
Bibliotekarzy Polskich w Łodzi

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIEŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.



W refleksji nad rzeczywistością społeczną pojawił się w ostatnich latach nowy nurt rozważań związany z problematyką stylu życia i jakości życia. Problematyka ta stała się przedmiotem dyskusji nie tylko w kręgu ludzi nauki — wśród socjologów, filozofów, ekonomistów, zaczęła również skupiać uwagę ideologów i polityków społecznych, pojawiając się w oficjalnych programach społecznych i hasłach politycznych, omawiana jest także szeroko przez publicystykę. Można więc mówić o pojawieniu się w naszym życiu intelektualnym nowej „mody”. Rodzi to oczywiste pytanie o źródła tego faktu społecznego. A ma on — jak się wydaje — znacznie głębsze znaczenie i odzwierciedla o wiele bardziej złożone zjawiska i procesy społeczne niż pozornie mogłoby się wydawać.

Jednym z jego podstawowych źródeł jest kryzys zachodniej cywilizacji technokratyczno-konsumpcyjnej, załamaniu się przyjętej przez państwa kapitalistyczne koncepcji rozwoju społeczno-gospodarczego opartego na wysoko rozwiniętej technologii, wysokiej sprawności struktur organizacyjnych społeczeństwa, na racjonalizowanym systemie zarządzania, wysoko wykwalifikowanej sile roboczej, na wysokim poziomie konsumpcji dóbr i usług materialnych, będącej siłą napędową postępu technicznego i produkcji. Symptomy tego nasilającego się szczególnie ostro w ciągu ostatnich lat kryzysu to: wzrost napięcia i konfliktów społecznych, których manifestacją była, między innymi, fala buntów młodzieży i ruch kontestacyjny, dalej — rozszerzająca się recesja gospodarcza, bezrobocie i inflacja.

1.

Pojęcie „styl życia” i „jakość życia” pojawiło się w pracach zachodnich socjologów i filozofów w kontekście rozważań nad „odnową” i „reformą” kapitalizmu, nad prognozowaniem jego dalszego rozwoju. Niedostatkami i słabościami rozwiniętego kapitalizmu wiążą się przez wielu teoretyków z niedostatkami i sprzecznościami koncepcji stylu życia stworzonej przez cywilizację technokratyczno-konsumpcyjną — stylu życia opartego na wysokiej konsumpcji dóbr materialnych traktowanych jako naczelnym celu życia jednostki i miernik jej prestiżu społecznego, na kulisie pieniądza i posiadania, implikującym pogardę dla tych wartości człowieka, które nie dadzą się ująć w kategoriach pieniężnych, na urzeczywieniu stosunków międzyludzkich, w których dominują wspólzawodnictwo, chęć „bycia wyżej” oraz instrumentalne traktowanie kontaktów z innymi ludźmi.

Nie kwestionując samych podstaw i zasad społeczeństwa, które rodzi tego rodzaju konflikty i sprzeczności, wielu teoretyków domaga się zmiany samego modelu stylu życia, w tym spodziewając się znaleźć jakąś uniwersalną receptę na uzdrowienie społeczeństwa i gospodarki kapitalistycznej. Zapomina się tu jednak, że styl życia jest zawsze wykładnikiem podstawowych cech systemu społecznego — jego celów, mechanizmów funkcjonowania oraz rzeczywistych możliwości, jakie stwarza on członkom społeczeństwa.

Ideologiczna wymowa problematyki stylu życia jest w tym kontekście oczywista. Staje się ona zresztą coraz częściej znaczącym argumentem w walce ideologicznej między systemami społeczno-politycznymi dzisiejszego świata. Wszak uniwersalizm konsumpcyjny, „odhumanizowanie” stylu życia, kryzys wartości kulturalnych i twórczych nie jest przecież jedyną alternatywą dla rozwiniętego, zamożnego społeczeństwa. System socjalistyczny posiada inną wizję jakości życia, wolną od technologicznego, organizacyjnego i konsumpcyjnego determini-

zmu, opartą na innym zespole celów i wartości nadrzędnych, których realizacja służy ma pełnemu zaspokoleniu ludzkich potrzeb, wszechstronemu rozwojowi osobowości człowieka, jego twórczej samorealizacji.

2.

Nasuwa się tu cały szereg ważkich z teoretycznego i praktycznego punktu widzenia kwestii. Przede wszystkim na czym polegać ma socjalistyczny styl życia i jakimi cechami winien charakteryzować się jego pożądany model stanowiący urzeczywistnienie socjalistycznego systemu wartości nadrzędnych i socjalistycznej koncepcji jakości życia? Czy ma się różnić rozwinięte, zamożne społeczeństwo socjalistyczne od zamożnych społeczeństw kapitalistycznych? Do jakich zjawisk i procesów nie chcielibyśmy dopuścić, jakich wzorów chcielibyśmy uniknąć? Jakie środki i sposoby planowanego, świadomego oddziaływania na społeczeństwo winny być stosowane przez politykę państwa w celu zapewnienia realizacji owego postulowanego wzorca stylu życia?

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że problematyka stylu życia weszła w Polsce w zakres zainteresowań i działań polityki państwa. Coraz częściej podkreśla się konieczność objęcia tej dziedziny życia planowaniem społecznym — chodzi o świadome oddziaływanie na styl życia społeczeństwa i kształtowanie go zgodnie z zasadami socjalistycznego modelu. Zwraca się

obecna faza rozwoju naszego społeczeństwa wydaje się być pod tym względem o wiele bardziej złożona. W dziedzinie stylu życia — podobnie zresztą jak w dziedzinie struktury społecznej — mamy bowiem do czynienia z współwystępowaniem i nakładaniem się na siebie elementów przeszłości i teraźniejszości, a także z interferencją ideologicznych wizji przyszłości. Analizując te problemy warto pamiętać o tym, że „klasy tradycyjne — jak pisał prof. Jan Szczepański — odchodzą w przeszłość powoli, że zostaje po nich wiele elementów trwałych, że zostawiają swoje dziedzictwo żyjące tak długo w ludzkich dążeniach, dążeniach, miarach ocen, dopóki nowe klasy nie wytworzą na ich miejsce własnych treści”. Spoglądając na dzisiejsze społeczeństwo polskie można zatem powiedzieć, iż jest ono swego rodzaju tygrysem, w którym wymieszane są różne style życia. I tak nadal funkcjonować mogą w naszym życiu społecznym pewne style życia genetycznie związane z przeszłością, np. tradycyjny inteligentcki czy wiejski styl życia, drobnomieszczański styl życia. Zrozumiałe jest przy tym, że pod wpływem nowego kontekstu społeczno-ustrojowego i cywilizacyjnego podlegają one daleko idącemu przeobrażeniu. Nasuwa to oczywiste pytanie o kierunek tej ewolucji. Z drugiej strony obserwujemy rodzenie się nowych zupełnie tendencji, kształtowanie się podstaw nowych stylów życia funkcjonalnie związanych z nowym typem społeczeństwa. Wykrystalizowanie się

ANITA WOJCIECHOWSKA

## STYL ŻYCIA

przy tym uwagę, że planowanie stylu życia jest zadaniem znacznie trudniejszym i okazać się może bardziej zawodne niż np. planowanie postępu technicznego. Styl życia jest bowiem niezwykle złożonym kompleksem zjawisk, o skomplikowanych wewnętrznych, strukturalnych powiązaniach i wielorakich zewnętrznych uwarunkowaniach. Świadome, planowe działania zmierzające do przekształcenia stylu życia opierać się muszą na gruntownej znajomości tych mechanizmów — od tego zależeć będzie skuteczność polityki społecznej w tej dziedzinie. Stawia to przed nauką zadanie rozwijania refleksji teoretycznej nad problematyką stylu życia, ale przede wszystkim podjęcia systematycznych badań empirycznych w tym zakresie. Winny one dostarczyć odpowiedzi na pytanie jakie style życia występują aktualnie w naszym społeczeństwie i pod wpływem jakich czynników są one kształtowane? Jak zaawansowany jest aktualnie proces realizacji socjalistycznego wzorca stylu życia, czyli w jakim zakresie w faktyczne zachowania ludzi, w ich postawy i aspiracje „wbudowane” są elementy istotne dla ideologii socjalistycznej?

3.

Przeobrażenia stylu życia są niewątpliwie funkcją zmian i przeobrażeń dokonujących się w wielu różnych dziedzinach życia społecznego — w technice, ekonomice, kulturze, strukturze społecznej świadomości społecznej. Powstaje pytanie: jakie odbicie procesy przeobrażeń, zachodzących w naszym kraju w ostatnim trzydziestolecu, znalazły w dziedzinie stylów życia? W przeszłości — w Polsce przedwojennej — różnicowanie stylu życia było łatwo uchwytnie i wiązało się silnie ze zróżnicowaniem struktury kla-

określonych socjalistycznych wariantów nowego stylu życia społeczeństwa polskiego jest stale jeszcze sprawą przyszłości. Sformułować można jedynie tezę, iż współczesne przemiany ekonomiczne, społeczne i kulturowe prowadzić będą — z jednej strony — do zanikania różnic pomiędzy stylem życia poszczególnych klas i warstw społecznych, z drugiej zaś — do wzrostu indywidualizacji tego stylu, a więc do wzrostu różnic między jednostkami należącymi do tych samych klas i warstw społecznych. Hipoteza ta wymaga jednakże udokumentowania wynikami konkretnych badań.

Kształt przyszłości stylu życia w naszym kraju zależeć będzie od takich czynników jak: przyszła struktura społeczna, wzrost przeciętnego poziomu życia, wzrost poziomu wykształcenia, rewolucja naukowo-techniczna i jej wielorakie konsekwencje społeczne (przemiany w charakterze pracy na skutek procesów automatyzacji, zwiększenie czasu wolnego, rozwój techniki masowego komunikowania, przemiany środowiska „naturalnego”, przemiany infrastruktury), stopień demokracji i uczestnictwo w życiu społeczno-politycznym, przemiany świadomości społecznej, zwłaszcza zaś ewolucja systemu wartości społeczeństwa, ewolucja obyczajów i przemiany w funkcjonowaniu serwisu kulturowego, zwłaszcza środków masowego komunikowania.

4.

Warto więc nieco przybliżyć sens i treść samego pojęcia „styl życia”. Rozważamy wszak nie martwą kategorię intelektualną, lecz konkretny wymiar naszego codziennego życia, konkretną rzeczywistość społeczną, która dla każdego z nas stanowi winna przedmiot świadomego kształtowania i programowania. Najogólniej można by powiedzieć, że styl życia charakteryzuje rzeczywistość społeczna, pokazując jak w codziennej, praktycznej działalności życiowej jednostek i grup ludzkich przełamują się istotne, obiektywne cechy danego systemu społecznego, realizują możliwości, jakie on stwarza. Styl życia jednostek i grup ludzkich jest zawsze odzwierciedleniem najogólniejszych cech społeczeństwa, w którym żyją — jego ustroju społeczno-politycznego, poziomu rozwoju ekonomicznego i techniczno-cywilizacyjnego, typu struktury społecznej, kultury, tradycji, systemu wartości itp. Określone, historycznie ukształtowane warunki społeczne stwarzają określone ekonomiczne możliwości zaspokajania potrzeb, szanse rozwoju osobowości ludzkiej, i jej samorealizacji, narzucają określone normy i wzory postępowania. Traktując styl życia jako funkcję systemu społeczno-ideologicznego i zwykło się mówić o „socjalistycznym” i „burżuazyjnym” modelu stylu życia.

W ramach tych ogólnych kategorii istnieć jednakże mogą rozmaite „grupowe” warianty stylu życia. Przynależność do grup i środowisk społecznych, będących często także odrębnymi kręgami kulturowymi, narzuca bowiem ludziom pewne wzory życia i normy działania, kształtuje potrzeby i aspiracje. W tym sensie mówi się np. o inteligentckim i drobnomieszczańskim stylu życia, a także o wiejskim i miejskim stylu życia.

Nie należy jednakże zapominać o tym, że z drugiej strony styl życia jest też zawsze wyrazem jednostkowych wyborów i decyzji, zawiera w sobie element indywidualnej kreacji, jest manifestacją indywidualnego „punktu widzenia”. Wszak człowiek sam, jako jednostka, jest twórcą własnego stylu życia, nawet jeśli jego wybory i zachowania są w znacznym stopniu określone warunkami społecznymi i wzorami kulturowymi. Można zatem powiedzieć, że w stylu życia zawiera się to, co w życiu każdego człowieka jest typowe, powtarzalne i wspólne z postępowaniem innych ludzi, a co wynika z przynależności do rozmaitych grup i kręgów społecznych, oraz — z drugiej strony — to, co jednostkowe, niepowtarzalne, oryginalne, psychologicznie zindywidualizowane, a co wynika ze specyfiki społecznej biografii jednostek, z ich struktury osobowości, z charakteru zainteresowań, dążeń, potrzeb.

Co daje nam pojęcie o stylu życia danej jednostki, na podstawie czego można czytać styl życia zrekonstruować? Styl życia przejawia się w różnorodnych formach codziennej aktywności życiowej jednostek, w ich trybie bytowania, w stosunkach z innymi ludźmi, w ich powszednich czynach, zabiegach, dążeniach. Możemy przyjąć, że życie człowieka we współczesnych społeczeństwach naszego typu realizuje się w kilku podstawowych sferach aktywności, takich jak: praca zawodowa i zarobkowa, życie rodzinno-domowe, konsumpcja, kontakty towarzyskie, działalność społeczno-obywatelska, uczestnictwo w kulturze, systemach wiedzy i informacji, rekreacja i regeneracja organizmu. Każda z tych dziedzin aktywności wymaga od jednostki określonego typu działań i czynności, w ramach każdej z nich człowiek zaspokaja określone potrzeby, realizuje określone wartości społeczne. Można by wskazać ludzi, którzy większość swojego czasu i energii życiowej poświęcają sferze pracy zawodowej, takich, którzy „wyżywają się” w pracy społecznej i organizacyjnej, czy takich, którzy w relacji do innych ludzi znacznie więcej czasu poświęcają na aktywny kontakt z kulturą. I to w jakiś sposób różnicuje ludzi między sobą.

5.

Jest jednak rzeczą wiadomą, że motywacje ludzkich działań bywają różne. Ogólnie powiedzieć można, że część działań, jakie człowiek podejmuje — to działania zgodne z jego chęciami i pragnieniami, stanowiące wynik świadomego wyboru, dobrowolnej decyzji, podejmowane intencjonalnie ze względu na chęć realizacji jakichś celów, manifestacji jakichś wartości, jednym słowem zachowania będące swoistą formą autokreacji. Domeną naszej codzienności stanowią jednakże działania podyktowane naciskiem rozmaitych konieczności życiowych, wykonywane z obowiązku i przymusu, takie, w stosunku do których swoboda wyboru praktycznie nie istnieje.

Tak więc dopiero wniknięcie w sferę motywów ludzkiego działania, w sferę ludzkiej świadomości, czyli poznanie potrzeb, wartości, aspiracji, pozwala ujawnić sens, jaki ludzie nadają swoim działaniom, poznać ich cele i dążenia życiowe. Tylko taka pogłębiona wiedza o jednostkach ludzkich stanowi może podstawę rekonstrukcji stylu życia.

Problematyka stylu życia jest nie tylko przedmiotem akademickich dyskusji i sporów, ostatnio stała się także przedmiotem konkretnych studiów empirycznych. Podjęto je w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego w zespole badawczym kierowanym przez prof. dr Janu Lutyńskiego. Badania prowadzone są na terenie naszego miasta. Rozpoczęto je w lutym, a zakończenie fazy zbierania materiałów przewidziane jest na początek przyszłego roku. Spodziewamy się, iż przyniosą one odpowiedź na wiele pytań stawianych w aktualnie toczących się dyskusjach nad stylem życia i wniosą w dotychczasowe eseistyczne racje i spekulacyjne rozważania element konkretności i ścisłości. Wydaje się także, iż wyniki tych i następnych badań empirycznych nad stylem życia stanowią mogą cenne źródło wiedzy dla polityki społecznej, stawiającej sobie za cel konsekwentne kształtowanie stylu życia społeczeństwa — zgodnie z socjalistycznym systemem wartości nadrzędnych i socjalistyczną ideą jakości życia.

Korzystając z okazji, chciałabym w imieniu zespołu Instytutu Socjologii UL złożyć serdeczne podziękowania tym mieszkańcom Łodzi, którzy wyrazili chęć współpracy z nami i dzięki pomocy których badania nad stylami życia mogą być realizowane.

ANITA WOJCIECHOWSKA  
dr socjologii, adiunkt w Instytucie Socjologii UL.

## KALISZANIE

O Kaliszanie czy też, jak ich inaczej nazywano, „partii kaliskiej”, pisano u nas od dawna i bardzo wiele. Jakże mogło być inaczej, skoro określone tymi nazwami polityczne stronnictwo, odegrało tak znaczną rolę w naszych dziejach w dobie Królestwa Kongresowego? Ferowano przy tym wiele rozbieżne sądy. Trudno się temu dziwić, skoro Kaliszanie byli jedną ze stron w toczącej się wówczas politycznej walce, stanowili opozycję zarówno w stosunku do rządu Królestwa i popierających go, nie zawsze we wszystkim, rządców orientacji zachowawczej, jak i do „partii ruchu” — liberałów, składających bardzo niejednorodną całość swego składu oraz dążeń politycznych i społecznych orientację o charakterze lewicowym. Byli Kaliszanie opozycją legalną, stojącą na gruncie konstytucjonalnym; stali się natomiast opozycją nielegalną, w sytuacji, gdy wolała być nielegalna, aby nie uległa romantyzmowi i „rewolucyjnym” nowinkom; dołączyli jednak do powstania, choć widzieli w nim nie tyle środek dla zasadniczej odmiany stosunków krajowych, ile drogę do obrony praw, „Kaliszanie — reprezentant zamożnych, oświeconych kół szlacheckich” — Polscy Kongresowcy — pisał Władysław Bortnowski — na podstawie współczesnych im wzorów francuskich podjęli próbę utworzenia stronnictwa konstytucyjnych liberałów, uparcie broniących postanowień „Karty”. Trudno nie zgodzić się z historykiem, kiedy powiada on, że w ówczesnych warunkach, zwłaszcza w aktualnie wówczas polskiej rzeczywistości, tego rodzaju orientacja miała stosunkowo niewiele szans. Jej przedstawiciele, z braćmi Wincentym i Bonawenturą Niemcewiczami na czele, uzyskali sobie jednak znaczną popularność. Spotkali się z szerokim społecznym uznaniem, jednakże nie dlatego, by darzono nim głoszone przez Niemcewiczów konstytucyjno-liberalne idee, inspirowane przez pisma Benjaminia Constanta „Szlachta przyklaskała im — znowu cytuję słowa historyka — ze względu na śmiałą krytykę niepopularnych ministrów, lecz równocześnie w większości nie rozumiała teoretycznych przesłanek postępowania Kaliszan. Represje stosowane przez Konstantego i rząd wobec Niemcewiczów i ich zwolenników spopularyzowały Kaliszów wśród szlachty i młodzieży Królestwa. Elementy patriotyczne widziały w nich przykład walki o prawa narodowe i gotowość do ofiar”. Każdy więc upatrywał w nich kogoś innego, zgodnie z własnym światopoglądem, dążeniami i kłopotami. Jednocześnie krytycznie oceniali ich ówczesna prawica: ale czyż w środowisku jej czolowego przywódcy, Adama Czarotorskiego, później, już w czasach postopadajowego emigracji, nie zarysuje się jakaś zmiana tej postawy? Można by się pokusić o wykazanie, jak niekiedy postępowanie, rozwijane przez rządców opozycji kaliskiej, zostaną później podjęte i przetworzone również przez kolia polskiej umiarkowanej prawicy, które reprezentował w dobie Wielkiej Emigracji określony przez przeciwników mianem stronnictwa arystokratycznego Hotel Lambert.

Cieszę się, że Władysław Bortnowski i powrócił do swych dawniejszych zainteresowań i po serii prac z dziełom najnowszych dał nam znowu do ręki niewielką książkę, opublikowaną przez Wydawnictwo Książka i Wiedza w popularnej serii „Światowida” (1976) zatytułowaną: „Kaliszanie, Kartki z dziełom Królestwa Polskiego”. O tym, że pisarstwo W. Bortnowskiego odznacza się literackimi walorami, że jego teksty napisane są z nerwem, mają znakomitą dramatyczną konstrukcję, przypominać tu nie potrzebuje. Rzeczywiście, narracyjna strona tej książki jest doprawdy znakomita: rzecz trzyma czytelnika w napięciu, oddziałuje na jego wyobraźnię, zmusza do przeczytania całości jednym tchem. Jeżeli W. Bortnowski skłonił takiego starego sceptyka jak ja, zaprawionego w wyszukiwaniu dziur w całym, do zarwania noży i przeczytania książki jednym ciągiem, od początku do końca, to sprawił coś, co zdarza mi się niezmiernie rzadko. Ale — nie wiem, czy Autor zgodził się ze mną — nie warstwa narracyjna jest w tej książce najistotniejsza.

Często historyczna narracja, opis biegu zdarzeń, już sam przez się dramatyczny i fascynujący, służy — można by powiedzieć — samemu sobie, zgodnie z dawnymi wyobrażeniami o historii, stawiającej sobie na celu jedynie przedstawienie minionej rzeczywistości. W. Bortnowski rzecz jasna ma i ten cel na względzie, bo jakże mogłoby być inaczej. Tyle, że nie jest to dlań cel ostateczny; narracja służy mu wyjaśnieniu i zrozumieniu opisywanych procesów i zjawisk, prowadzi do ogólnych sądów. Historykowi udało się zaproponować je w sposób w pełni przekonujący: jako wynikające z przedstawionej na kartach dzieła dziełowej materii. Dzieki temu książka ta uczy — w najlepszym tego słowa znaczeniu — historycznego myślenia, uczy czytelnika obiektywizowanego spoglądania, nie tylko na sprawy, przedstawione w niej przez Autora.

Słusznie przypominając dawniejsze i nowsze oceny opozycji kaliskiej W. Bortnowski stwierdza, że terminy „postopadaj” lub „reakcyjna” w odniesieniu do działalności Kaliszana upraszczają zagadnienie, bo elementy jednego i drugiego odnajdujemy w ich działaniu”. Poważna refleksja historyczna, w diametralnej sprzeczności z potocznymi wyobrażeniami, nie może ocenić przedstawianych przez siebie zagadnień w innych kategoriach, jak dialektyczna. Dlatego warto, by książkę W. Bortnowskiego przeczytali ci wszyscy, którzy natłuszczyli poszukiwaniem i recepty na ocene wypadków przeszłości i chęć, aby nie tylko o opozycji kaliskiej z czasów Królestwa Polskiego można było rzec, że była „zawsze” taka, bądź inna, dobra lub zła. Podstawą historycznego myślenia człowieka kulturalnego jest wszak od dawna świadomość zróżnicowania czasów i sytuacji.

ANDRZEJ F. GRABSKI





**WITALIJ SERDIUK, urodzony w roku 1934, jest znanym radzieckim pisarzem młodego pokolenia. Pochodzi z Iwanowa i tam jest członkiem Związku Pisarzy. Zadebiutował w roku 1964 utworem pt. „Niezwykłość”. Następnie, w roku 1969, ukazała się jego „Opowieść o dziennikarzu”, a w roku 1975 — utwór „Ponad śmierć”. Ostatnio, nakładem moskiewskiego wydawnictwa „Sowremiennik”, ukazała się jego kolejna książka pt. „A niebo błękitne, coraz błękitniejsze...” Z książki tej zaczerpnęliśmy fragment drukowany na tej kolumnie. Tytuł pochodzi od tłumacza.**

Maria zdecydowanie otworzyła drzwi i weszła do gabinetu Bezsonowa. Dyrektor zakładu siedział przy swoim dużym biurku i przeglądał jakieś papiery.

— Słucham, Mario — rzekł nie podnosząc głowy.

— Ja z prośbą do pana, Włodzimierzu Nikołajewiczu.

— Tak, tak, słucham — powtórzył i lekko się zmarszczył.

— Przyjeżdżają do mnie goście z Leningradu... Pociągami południowym, więc pomyślałam... Po obiedzie mogłaby mnie zastąpić Wiera Wasylewna.

— Dobrze, Mario.

— Dziękuję — powiedziała i odwróciła się.

Bezsonow, nie odrywając się od papierów, machnąwszy szeroko ręką, zburzył swoją i bez tego nie uczesaną czuprynę, i zapytał z roztargnieniem: — Kogóż to oczekujecie, Mario?

Lugowa bała się tego pytania. I właśnie ono zatrzymało ją na progu. Powoli odwróciła się i chciała już wygłosić wcześniej przygotowaną odpowiedź, która zabrzmiałaby niewinnie „Krewnej ze strony męża”. Ale teraz, te proste słowa nagle nie wiadomo dlaczego uwięzły jej w gardle, a rumieniec zawstydzenia rozlał się na twarzy. Nie potrafiła słamać. Jej milczenie jakby rozbudziło Bezsonowa. Dyrektor podniósł głowę, zdjął okulary i popatrzył na nią pytająco.

W końcu Maria wzięła się w garść i powiedziała cicho:

— Mego męża... pierwszą żonę.

Bezsonow osupiał na moment, potem wymamrotał coś niewyraźnie, poszukał, gdzie może położyć okulary i nie znajdując miejsca, wsunął je na nos.

— Pani wybaczy, Mario — zamruczał i mimo woli wstał. — Przepraszam. Brak taktu jest w pewnych wypadkach gorszy od chamstwa.

Był niezbyt jasny, ale wciąż jeszcze ciepły, jak latem, dzień wrześniowy. Tylko święty wiaterek zmiatający na kupki i rozrzucający zeschłe liście na przydworcowym placu uprzytomniał, że jesień za pasem.

Maria założyła najlepszą sukienkę, elegancką, ciemno-liliowego koloru. Uwydatniła jej bladą twarz i jak się jej zdawało, w tej sukience nawet jej przedwczesna siwizna miała inną wymowę: nie jako ślad minionych przeżyć i cierpień, ale jako znamie dojrzałości i szlachetności. Najbardziej bała się wydać Irinie Sergiejewnej żalną, dać jej choćby najmniejszy powód do przypuszczenia, że Wiktor wziął ją za żonę ze współczucia.

Maria przyjechała nieco przed czasem. Długo stała obok koszy i wiader z kwiatami, które wystawili przekupnie na przyjazd pociągu. „Można by kupić — myślała — powitać z kwiatami... Ale jeśli nie zrozumie, jeśli uzna, że zabiegam o sympatię?”. I nie kupiła.

Kiedy wreszcie ogłosili przez głośnik, że pociąg z Leningradu przyjeżdża na pierwszy tor, Marię ogarnęło niezwykłe podniecenie. Jakoś od razu twarz zapłonęła suchym żarem, a dłonie stały się wilgotne. Wyjęła z torebki chustkę do nosa i nie wypuszczała już jej z ręki.

Ujrawszy ciężki i powoli toczący się pociąg, witający przesunęli się na brzeg peronu i Maria została sama.

Migły okna wagonów, ukazywały się i przesuwały w bok nieznane twarze. Spozza pleców konduktorki, która zastąpiła w drzwiach, ktoś wymachiwał ręką i krzychał. Później, w jednej chwili, powstał ścisk i beład. Ale stopniowo w spletanym tłumie utworzył się wyraźnie zauważalny potok, który, porywając wciąż nowych ludzi, podążał ku wyjściu. Marię odepchnięto do ściany dworca i dopiero tutaj pomyślała, że najlepiej było zająć miejsce przy bramie prowadzącej na przydworcowy plac. Odsunęła się od ściany i ruszyła wraz z tłumem.

Ludzie szli i szli.

Po dziesięciu minutach, kiedy peron całkiem opustoszał, ujrzała kobietę. Ubraną w szarą jesionkę, na głowie — niebieski beret. Obok niej stała walizka. „To ona!” — zdecydowała Maria i słysząc jak nietakownie głośno stukają na asfalcie obcasy jej nowych pantofli ruszyła ku przyjeźdźcy. Ta, widocznie także zrozumiawszy kto zbliża się ku niej, podniosła walizkę i ruszyła naprzeciw.

Maria nie czuła już zdenerwowania ani leku. Tylko w piersi powstała niepojęta pustka i w tej pustce coś leciutko drżało...

— Irina?

— Maria?

Irina Sergiejewna uśmiechnęła się przyjaźnie i od tego jej dobrego uśmiechu, ciężar, który Maria niosiła na sercu, znikł bez śladu, ustępując miejsca niepojętej jeszcze radości. Cała przeszłość — strach, zazdrość, zawiść, wszystko, co wiele lat dokuczało jej, ilekroć myślała o Irinie Sergiejewnej, wszystko to nagle ustąpiło teraz w daleką, nierealną mgłę, wydawało się już

WITALIJ SERDIUK

MARIA I IRINA

śmiesznym i bagatelny. I nagle pojawiła się prosta i jasna myśl: śmierć Wiktora była nie tylko ich wspólnym nieszczęściem, ona jakby nawet równała obie w prawach do niego. To nie była jeszcze nawet wyraźnie formująca się myśl, a domysł, natchnienie. I poddawszy się ogarniającemu ją uczuciu Maria nieoczekiwanie objęła gwałtownie tę obcą, a nagle tak dziwnie jej bliską kobietę.

— Dzień dobry, Irino Sergiejewna — wyszeptala i poczuła, jak pod jej rękami drgnęły ramiona gościa. A kiedy odsunęła się i zobaczyła lzy w oczach Iriny Sergiejewnej, rzekła pośpiesznie:

— No, co pani? Nie trzeba płakać...

Irina Sergiejewna próbowała się uśmiechnąć i powiedziała z poczuciem winy:

— Nerwy do bani!

Wydostała chustkę i zaczęła wycierać poczerwieniałe oczy. Wsunęła pod beret falisty, kasztanowy kosmyk i powiedziała zwyczajnie:

— Pójdziemy?

Maria nachyliła się po walizkę, ale Irina Sergiejewna przechwyciła rączkę.

— Nie, nie... Ja sama.

Idąc peronem milczały, Maria rozumiała, że po tych pierwszych minutach trudno wydać sąd o człowieku, ale przecucie podpowiadało jej, że w zachowaniu przyjeźdźcy, w nieoczekiwanych łzach i w tym jej leciutkim uśmiechu nie ma fałszu, ani nienaturalności. I sercem już zaakceptowała tę drobną kobietę. Ukradkiem popatrzyła na nią z profilu, widziała lekko zadarty nosek, delikatnie rysujący się zmarszczkami cienia pod okiem, zawiąnięte za ucho miękkie włosy, w których sprytnie ukrywała się siwizna...

— U was ciepło, słońeczko — powiedziała wreszcie Irina Sergiejewna.

— A u nas, kiedy wyjeżdżałam, lał deszcz, chłodny jesienny...

— Babie lato — uśmiechnęła się Maria.

Gość szybko objął ją spojrzeniem.

— Babie...

W tramwaju siedzieli obok siebie, patrzyli w okno. Tylko niekiedy Maria objaśniała:

— To nasz teatr... To pomnik reowocjonistów... Tam zaś, czerwony budynek... instytut pedagogiki...

— Dojedziemy do hotelu? — zapytała nagle Irina Sergiejewna. To, że jej współtowarzyszka zamierzała zatrzymać się w hotelu, nieco uraziło Marię.

— Myślałam, że pani u mnie... Chciał pokój niewielki, miejsce się znajduje.

— Nie gniewaj się, Mario — powiedziała Irina Sergiejewna nakrywając jej dłoń swoją. — Ale mimo wszystko lepiej będzie mi w hotelu... Nie potrafię zamieszkać tam, gdzie on... Żył... Musisz mnie zrozumieć. Ciężko mi będzie...

— Cóż, może nawet ma rację — pomyślała Maria i powiedziała:

— Wobec tego musimy wysiadać na najbliższym przystanku.

— Tylko nie gniewaj się, proszę — powtórzyła Irina Sergiejewna.

— Rozumiem — kiwnęła głową Maria.

Formalności hotelowe nie trwały długo. Potem zjadli obiad w restauracji, kupili w kwiatarni dwa okazałe bukiety i pojechali na cmentarz.

Kiedy z głównej alei skręcili w boczną ścieżkę, Maria powiedziała to, co niemię żyło przez wszystkie te lata w jej duszy:

— Wiktor długo pani poszukiwał... Jak tylko przywieźli go do szpitala,

na froncie. W dom, gdzie mieszkaliśmy z Wiktorem, trafiła bomba... Jakoś wstąpiłam do domu, a domu to nawet nie... ruiny.

— Tak, wiem. On jeździł. Był u pani ciotki.

— Opowiadała.

— A o szkieletach, które spaliła, opowiadała? — ostrożnie zapytała Maria.

— Tak.

— Jakże tak można... Palić? — obruszyła się Maria. Jakby to było krzesło albo... Wiktor zawsze mi mówił, że ludzie w Leningradzie kochają i szanują sztukę.

— Wojna, gołąbeczko... blokada... Kto tego nie próbował...

Irina Sergiejewna wzięła ją pod rękę i Maria poczuła się nagle obok tej kobiety małą dziewczynką, która ani nie poznała prawdziwego nieszczęścia i wojnę widziała tylko z daleka, jak w kinie.

— Chodźmy, Mario — usłyszała głos Iriny Sergiejewnej i posłusznie poszła obok niej. Ale mimo wszystko gorczy i oburzenie, że jakaś tam ciotka osmieliła się palić w piecu obrazami, nie minęły. Ba, nawet gdyby to chodziło nie o prace Wiktora, a kogoś obcego, nie potrafiłaby być obojętna wobec takiego barbarzyństwa.

Cicho szeleściły listowiem brzozy, wypreżone, proste stały choinki, spadły pojedyncze jeszcze, złote liście. I chociaż wszystko to oblane było słońcem, wszystko miało już ślady wędnięcia, jakiegoś utajonego smutku.

Maria skręciła w bok, przeszła obok szeregu wzgórków piasku i zatrzymała się przed żelazną piramidką zwieńczoną czerwoną gwiazdą. I nagrobek, i spawany płotek pomalowane były białą, poblyskującą w słońcu farbą.

— Dotarliśmy — powiedziała.

Irina Sergiejewna podniosła wzrok, zagrzała i cofnęła się. Nie widziała ani złotego piasku, którym była posypana ziemia obok mogiłnego kopca, ani wiązanek zwiedłych kwiatów. Wzrok miała jak przykuty do fotografii pod szkłem. W pierwszej chwili uznała, że Maria omyliła się, prowadząc ją do tej mogiły. Spoglądał na nią ktoś zupełnie nieznamy. Nawet na fotografii można było zauważyć, że twarz tego człowieka zniekształcona jest szerokimi szramami. I tylko oczy spoglądały znajomym zadumaniem, i jak jej się zdawało, z tęsknotą.

— Siadźmy — powiedziała Maria otwierając drzwiczki ogrodzenia. Weszła do wnętrza, spokojnie zebrała stare kwiaty i położyła na ich miejscu olśniewający, barwny bukiet. Potem wyjęła chustkę i przetarła szkło przykrywające fotografię. I to, że ona robiła to wszystko jakoś po gospodarsku powoli i troskliwie, nieprzyjemnie dotknęło Irinę Sergiejewną. Tak, Maria była tutaj gospodynią, a ona tylko gościem, postronnym obserwatorem. Ale była to niechęć chwilowa: zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że właśnie tak powinno być. Przecież takie samo poczucie własności odczuwała oprowadzając wycieczki po salach muzeum. Opowiadając o historii powstania tego czy innego obrazu, o życiu malarzy, dostrzegła niekiedy, że rama jest trochę przykurzona. Nie przerywając opowiadania z rozdrażnieniem myślała o niedbalstwie sprzątaczk, a kiedy grupa odchodziła, brała ściereczkę i szła przetrzeć ramę.

Siedzieli w milczeniu, patrząc na fotografię, na dwa leżące obok siebie bukiety.

— Cicho tutaj — powiedziała Irina Sergiejewna.

— Lubili ciszę — odpowiedziała Maria. Pomilczała i dodała, jakby to było bardzo ważne: — Miejsce tu suche, na górze...

— Tak, suche... A ręce... Ręce miał też popalone?... —

— Też.

— Więc jak malował?

— Najpierw wcale. Zamówił sobie aparat do torturowania rąk. On tak mówił — „do tortury”. A kiedy poczuł siłę, to nagle zaczął bać się i pędził, i farb. Nie wierzył zupełnie, że się uda. Później już miał odwagę.

— Ile ma twój syn?

— Niedługo cztery. Chodzi do przedszkola. Od przedwczoraj troszkę choruje, sąsiadka pilnuje...

Do Marii przyjechały pod wieczór. Otwierając drzwi do przedpokoju Maria usłyszała dźwięczny głos Koleńki. „Znowu ciocia Katia zupełnie sobie z nim nie radzi!” — pomyślała.

— Mamusku, mam... — chciał rzucić się ku matce Koleńka. Ale ujrwszy nieznaną ciocię, powstrzymał się, poczuł się skrepowany. A Irinie Sergiejewnej na widok chłopca przebiegł mróz przez plecy: oczy, włosy, nos, nawet kosmyk na przedzie były takie same jak u Wiktora. I nie prozono lzy żmów, jak podczas spotkania na dworcu, przychyliły jej wzrok...

Irina Sergiejewna odjeżdżała po trzech dniach. Kropił drobny, chłodny deszcz. W dużej sali poczekalni było pusto i niósł się pogłos.

— Niech pani przyjeżdża częściej, Irino Sergiejewna — zapraszała Maria. — Dróżkę do nas już pani zna...

— Nie chce mi się odjeżdżać — przyznała tania. — Kola twój taki wspinały... I wszystko u was takie proste, dobre...

— A gdyby tak zupełnie, na zawsze? — nieoczekiwanie, nawet dla siebie samej, zapytała Maria. I przerażona się swojej śmiałości, niedorzeczności swej propozycji. Bez przekonania dodała: — Razem, może byśmy i zebrały wszystko, co zostało... obrazy, szkice, rysunki... Przecież nie jestem specjalistką, możliwe, że nawet nie rozumiem, a pani akurat jest historykiem sztuki...

— Droga moja, Maria — przywarła do niej Irina Sergiejewna. — Cały dzisiejszy dzień myślałam przecież tylko o tym. A przecież powiedzieć, nie osmieliłam się. W Leningradzie chłodno mi samotnej, nieprzytulnie... Mam tam pokój, zamienię go, tak że w niczym nie będę was krępować...

Maria z oburzeniem i z radością powiedziała o tym, żeby Irina Sergiejewna nawet nie myślała o jakimś tam skrepowaniu, że w troje będzie im bardzo dobrze, że zebrane prace będzie można przekazać do muzeum, niech się ludzie zachwycają, cieszą...

Przelicytowały się wzajemnie, budowały pospieszne plany, dogadywały się w jakichś drobiazgach.

Potem poproszono, aby odprowadzający opuścili wagon, a Maria i Irina czuły potrzebę powiedzenia sobie wciąż jeszcze tak wiele. Były poruszone i przejęte tak nieoczekiwanie podjętym postanowieniem, tą odmianą, która wkraczała w ich życie.

Przełożył: KONRAD FREJDLICH



Fot. Archiwum



# REPORTAŻ

Dalszy ciąg ze str. 1

wojenną nowoczesność. Tak było do czasu, kiedy znów zaczęliśmy budować nowe miasta. Też na miejscu dawnych wsi, jak choćby Nową Hutę pod Krakowem na miejscu wsi Mogiła. A Gdynia powoli schodziła na plan dalszy. Już nie mogła fascynować rozmachem, nowoczesnością. Stała się jednym z członów Trójmiasta. Dzień dzisiejszy Gdyni nabierał zupełnie innych treści.

— A więc jak będziesz w Gdyni — powiedział mój znajomy — to koniecznie wpadnij do hal targowych... Ale ja jechałem do Gdyni w zupełnie innym celu.

Z dworca „Gdynia — Główna” do centrum najprościej iść ulicą 10 Lutego. Każdy turysta musi odbyć tę trasę, bo każdy idzie na Skwer Tadeusza Kościuszki, aby dotrzeć do morza. Jest to już droga tradycyjna. Przemierzali ją w okresie budowy portu i miasta ówczesni pionierzy, obiecywiali, lażęgi i ci, którzy przyjechali tu, aby znaleźć pracę. Brnęli przez piach, dochodzili morza i próbowali wodę. Czy naprawdę jest słona? Dziś chodzą tu turyści. Czy zastanawiają się, dlaczego ta ulica nosi nazwę „10 Lutego”? Co oznacza ta data?

Był luty 1920 roku. W jednej z restauracji Wejcherowa oficerowie 1 szwadronu 2 Pułku Szwoleżerów Rokitańskich zegnali swego dowódcę. Jego następcą został Zdzisław Rozwadowski. Ledwie się panowie oficerowie rozjechali do swoich kwater, gdy do nowego dowódcy szwadronu przyszedł wachmistrz z rozkazem następującej treści:

„Szwadron 1 w pełnym składzie wyruszy do m. Gdingen (Gdynia) i we wczesnych godzinach rannych nawiąże tam kontakt z morzem”.

Ten „kontakt z morzem” 1 szwadron 2 Pułku Szwoleżerów Rokitańskich nawiązał właśnie 10 Lutego 1920 roku. Ale to nie była jedyna data 10 lutego w historii Gdyni. W sześć lat później, 10 lutego 1926 roku Gdynia otrzymała prawa miejskie.

Turysta spieszy na Skwer Tadeusza Kościuszki, bo tam u Nadbrzeża Pomorskiego przycumowano ORP „Błyskawica”, zamienioną w muzeum, cumują tam skandynewskie promy, a czasem cumuje tam cagle piękny i podziwiany „Dar Pomorza”. Właśnie stał, kiedy byłem w Gdyni. Turyści spieszą więc na Skwer Tadeusza Kościuszki, na Molo Południowe mają ulicę Antoniego Abrahama. Mija ją obojętnie. A szkoda. Ulica wprawdzie sama w sobie nie najciekawsza. Natomiast jej patron: Antoni Abraham to postać, o której warto wiedzieć.

Urodził się 19 grudnia 1869 roku w osadzie Zdrada koło Mechowej w dawnym powiecie puckim. Z zawodu był domokrądcą. Miał przedstawicielstwo wytwórni maszyn do szycia Singer i Neidlinger. Z powołania był działaczem, przywódcą. Jego zawód ułatwiał mu poruszanie się po Kaszubach, kolportowanie prasy polskiej, agitację za polskość, ułatwiał działalność oświatową. Był korespondentem „Gazety Gdańskiej”. Znakomitym mówcą, agitator. Do 1914 roku władze pruskie wytoczyły mu... 40 politycznych procesów.

W 1911 roku na wielkim wiecu, kiedy go dopadli pruscy żandarmi i skuli w kajdany, krzyknął do tłumy: — „Już niedługo ich rządów! Zerwiemy nasze kajdany, jak ja je dziś!” I ro-

skiego Lloyd George'a. Legenda, która głosi, że Antoni Abraham wałną pięścią w stół i powiedział: — „Pomóż nam żaden purk nie zabierze!” jest piękniejsza i bardziej pasuje do charakteru i temperamentu „Króla kaszubskiego”. A „purk” to po kaszubsku po prostu diabeł.

Umarł 23 czerwca 1923 roku. Spoczywa na Oksywiu, blisko morza, które chciał, aby należało do Polski. W Gdyni pozostał „dom Abrahama”, w którym mieści się muzeum.

Jest jeszcze jedna ulica w Gdyni, o której warto coś wiedzieć i jedno nadbrzeże. Na tę ulicę turysta rzadko trafia. Trzeba tam iść minawszy Plac Kaszubski, ulicę Portową. Jest to ulica inż. Tadeusza Wendy. A Nadbrzeże imienia inż. Tadeusza Wendy znajdu-

jeckim. Inżynier Tadeusz Wenda nie czeka jednak na oficjalne decyzje. Jedzie do Gdyni i rozpoczyna wstępne badania. 25 lipca 1920 roku zapada decyzja o budowie portu w Gdyni. Miał to być wprawdzie tylko mały tymczasowy port wojenny i przystań dla rybaków. Naczelnikiem budowy tego portu został inż. Tadeusz Wenda.

Traktat Wersalski przyznał wprawdzie Polsce dostęp do morza, ale Gdańsk uczynił Wolnym Miastem. To Wolne Miasto Gdańsk miało rządzić się własnymi prawami, pozostawać pod kontrolą Ligi Narodów, a jego interesy na międzynarodowym forum miała reprezentować Polska. Miał to być port, który miał również służyć Polsce. Tylko, że Gdańskowi taki obrót sprawy nie bardzo był na rękę.

obowiązki muzeum, smukły i biały „Dar Pomorza”, na którym uczniowie Wyższej Szkoły Morskiej uczą się wiazać węzły marynarskie. Przed szwedzkim promem „duty free shop” tylko dla załogi i pasażerów promu. Obok usiłujący robić konkurencję „Baltonie” handlarze bursztynów. Pstrykają aparaty fotograficzne i cichutko terkoczą kamery. Czas na ostatnie pamiątki z Polski.

Czas też na obiad. Pora po temu stosowna, a że jest już po sezonie, nie ma obawy, że w restauracjach tłok będzie. A więc wolno iść sobie Skwerem Tadeusza Kościuszki do ulicy Świętojańskiej. W prawo do Placu Kaszubskiego. Tuż przy rogu ulicy Starowiejskiej znajduje się Hotel Centralny. Siadam w restauracji przy stoliku. Ludzi faktycznie mało. Paru marynarzy zagranicznych statków i towarzyszące im miejscowe panie, których zawodem jest umilenie życia obcym przybyszom. Paru spóźnionych turystów, podróżnych, którzy w swoich wozach o Gdynię też zawadzili. Zamawiam obiad i przypomina mi się, że i ten hotel ma swoją historię.

Był taki czas, na cztery lata przed wybuchem pierwszej wojny światowej, kiedy Gdynia mogła zrobić konkurencję Zoppotom, jak wówczas nazywano Sopot. Adolf Nowaczyński wędrując samochodem po Pomorzu trafił i do Gdyni. Stała tam wtedy — jak to później opisywał — dziwna ruderka, pozostałość po zbankrutowanym towarzystwie „Weichsel”. Był to gdański Kurhaus — Dom Zdrojowy, z właścicielem, bufetem, pustą jadalnią, werandą, ogrodem, mołem, porożwanymi łazienkami. Było w tym Kurhausie 15 pokoi i ani jednego gościa. I wtedy całe towarzystwo, które podróżowało z Adolfem Nowaczyńskim, postanowiło zerwać z Zopotami i przenieść się do Gdyni. Więść o wymarzonej uzdrowisku nad polskim morzem szybko się rozniósła pantoflową pocztą po Warszawie, a w innych miastach rozpropagowały Gdynię ogłoszenia drukowane naonczas w „Swiecie”, „Nowej Gazecie”, „Kurierze Warszawskim” i „Czasie”. Ale mimo tego Gdynia nie stała się uzdrowiskiem. Przyjeżdżano tu wprawdzie chętnie, ale Sopot cieszył się większym powodzeniem i być może udałoby się Gdyni uchwycić w jego cieniu jako mała, letniskowa miejscowość nad morzem, gdyby nie wojna.

Po wojnie, już wiemy. Wybuchła Polska i Gdynia z rybackiej biednej wioski awansowała do rangi miasta portowego. Kiedy rozpoczęła się jego budowa ściągali zaczęli tu ludzie różnego autoramentu i zawodu. Jak grzyby po deszczu wyrastały dzielnice ruder i słumsów: „Pekin”, „Budapeszt”, „Mexico”, „Nowy Jork”, Rosły baraki i drewniaki w okolicznych wsiach: Małym Kacku, Cisowej, Grabówku, Witominie, na Obłoku... W mieście powoli wyrastały nowoczesne domy. Na przedmieściach bieda-domy rosły szybko, bardzo szybko. Ziemia nabierała ceny. Kto miał tu ziemię, mógł wyjść na tym dobrze.

Zrozumiał to Augustyn Skwierca. Był to najmłodszy rolnik w Gdyni. Właściciel pierwszej w Gdyni karczmy i hotelu „Centralny”. W gruncie rzeczy nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie szopa Augustyna Skwierca. Budowniczo wie Gdyni założyli sobie, że powstaną tu proste ulice, otwarte na morze. Ale ulica Świętojańska lekko skręca przy Placu Kaszubskim. Powodem tego była pomysłowość Augustyna Skwierca i jego... szopa. Spodziewając się, że miasto będzie chciało wykupić jego ziemię i zapłacić odszkodowanie za stojące na niej zabudowania, Augustyn Skwierca przerobił szopę wyremontował ją i na piętrze zrobił mieszkanie, które wynajął lokatorowi. Szopa Augustyna Skwierca została i raz na zawsze określiła ulicę Świętojańską. Właśnie w pobliżu Hotelu Centralny.

Dziś Gdynia liczy 214 tys. mieszkańców i jest ważnym węzłem komunikacji morskiej. W porównaniu do innych polskich miast jest miastem młodym. Cóż to bowiem znaczy 50 lat? Są miasta młodsze od Gdyni, prężnie rozwijające się. Ale Gdynia mimo swoich 50 lat nie ma zamiaru ustąpić pola. Miasto to nadal się prężnie rozwija, a niektórzy nawet twierdzą, że czeka je druga młodość. W biurach projektowych powstają nowe koncepcje budowy portu gdynińskiego. Buduje się nowe dzielnice. Rozbudowuje się Stocznia Gdynińska im. Komuny Paryskiej.

Historia rozwoju polskiego handlu morskiego narzuciła Gdyni drobnicową specjalizację. Dziś nowym zadaniem można będzie podolać rozwijając CENTRUM KONTENEROWE. I tak ma się stać. Ma tu też być BAZA PROMOWA oraz BAZA PRZELADUNKU ZBOŻA I PASZ. Program budowy i modernizacji portu gdynińskiego określa zadania, które mają być zrealizowane do 1980 roku i po 1980 roku. A wiadomo, że rozwój portu pociągnie za sobą rozwój miasta.

## W STRONĘ MORZA

zerwał kajdany skuwające mu ręce. Odczynał się bowiem wielką siłą, hartem ducha i rozumem. Nazywano go „królem kaszubskim”. Obrósł legendą. Augustyn Necel, pisarz i rybak z Władysławowa utrzymał, że to zdarzenie miało miejsce w Zarnowcu. Nina Rydzewska w książce „Rybak bez sieci”, że w Kościerzynie.

Jest faktem, że był członkiem kaszubskiej delegacji, która udała się do Paryża, na Konferencję Wersalską, aby walczyć o przyłączenie Pomorza i Gdańska do Polski. Ale i ten fakt obrósł też legendą. Głosi ona, że Antoni Abraham wałną pięścią w stół i wymusił na Thomasie W. Wilsonie — prezydencie USA — przyznanie Polsce dostępu do morza. Gdańsk stał się wprawdzie Wolnym Miastem, ale skrawek morza z Półwyspem Helmskim dostał się Polsce. No i część Pomorza.

Róża Ostrowska i Izabela Trojanowska w „Bedekerze Kaszubskim” utrzymują, że pewnie jest, iż Antoni Abraham i Tomasz Rogala z Kościerzyny przyjęli byli przez Ignacego Paderewskiego i delegata Komitetu Narodowego przy rządzie francuskim — Erazma Pilleza oraz że swoje postulaty przekazał Komisji dla Spraw Polskich Kongresu Pokojowego. Natomiast Ryszard Ciemński w książce „Od północnej strony” twierdzi, że Antoni Abraham i Tomasz Rogala byli przyjęci przez prezydenta USA — T.W. Wilsona i premiera rządu angiel-

je się przy Molo Węglowym. Inżynier Tadeusz Wenda jest już postacią z innego rozdziału historii Gdyni.

Gdynia idealnie nadawała się na budowę portu. Zwrócił już na to uwagę hetman Stanisław Koniecpolski w pierwszej połowie XVII stulecia. W czasach panowania Władysława IV myśl tę podjął inżynier wojskowy Jan Pleitner. Idee te nie znalazły jednak warunków dla realizacji. Powrócono do niej dopiero w XX wieku. Pierwsze przygotowania do budowy portu poczyniono już wiosną 1920 roku. Wprawdzie kolatała się wtedy również idea zbudowania portu aż w Tezewie, ale nie było żadnych warunków na realizację tak skomplikowanego i trudnego przedsięwzięcia. I tu właśnie pojawia się inżynier Tadeusz Wenda.

Jeszcze w 1920 roku wraz z szefem departamentu Spraw Morskich Ministerstwa Spraw Wojskowych — wiceadmirałem Kazimierzem Porębskim udają się na polskie wybrzeże, aby szukać dogodnego miejsca dla budowy portu. Znajdują je w dolinie między Kępą Oksywską a Kamienną Górą, gdzie leży wieś rybacka Gdynia. Ich pomysł nie znajduje jednak poparcia. Nadal wysuwa się koncepcje budowy portu w Tezewie, albo nową — nad Żaloką Pucką lub Jezłorem Zarno-

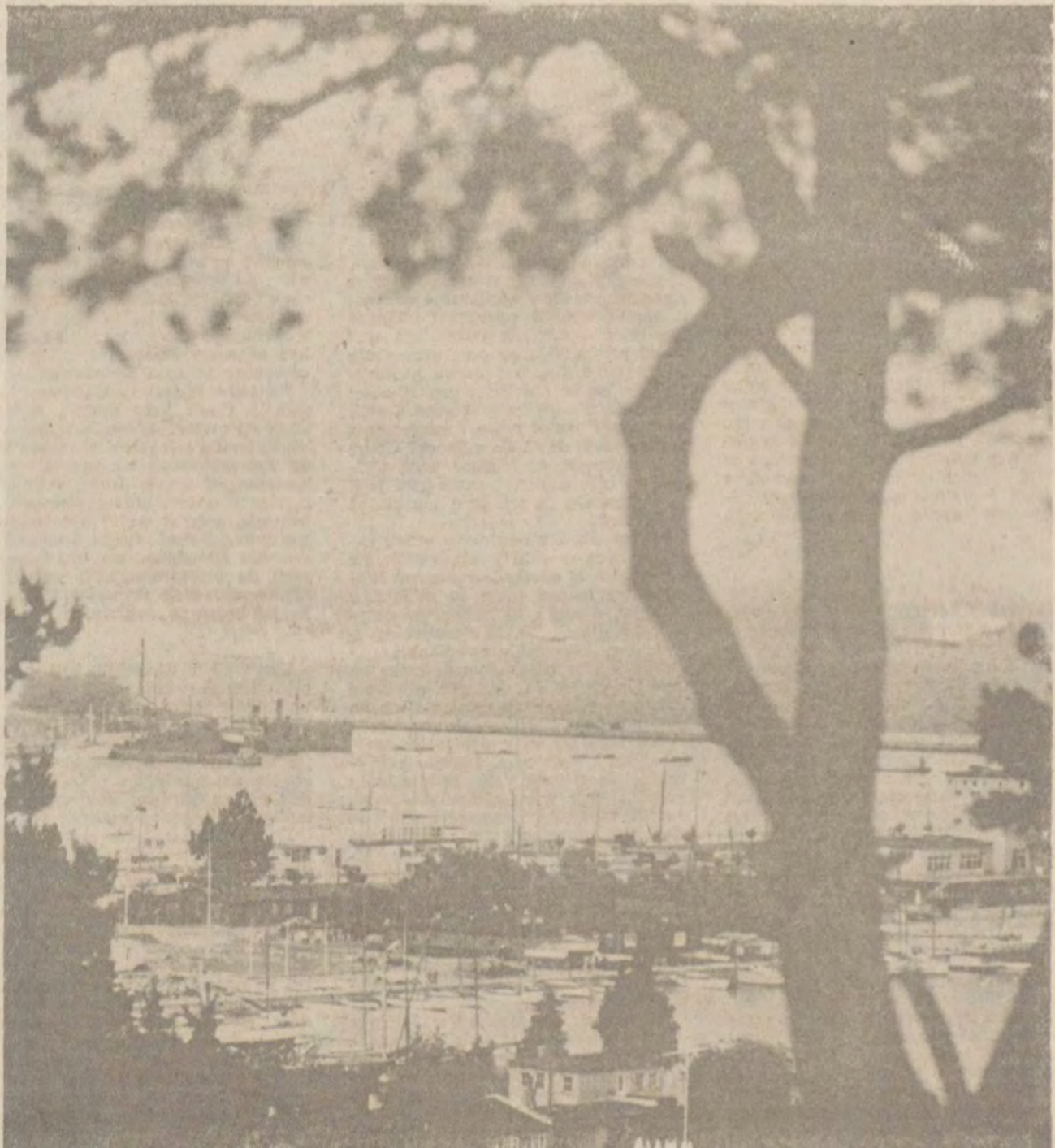
Polska otrzymała w Gdańsku prawo do posiadania własnej służby telekomunikacyjnej, obsługi sieci kolejowej oraz Wojskową Składnicę Tranzytową na półwyspie Westerplatte. Gdańsk otoczony był polską granicą celną, posiadał własny senat, policję, pieniądze. Polacy mogli udawać się do Gdańska tylko na podstawie dowodu osobistego. Ale Gdańsk odmówił Polsce miejsce: na cumowanie polskiej floty wojennej. Dlatego między innymi trzeba było zbudować szybko tymczasową przystań dla wojennych okrętów, które stały bez względu na pogodę na redzie w Gdyni. Miejsca w gdańskich stoczniach na czas remontu i cumowanie na zimę kupować trzeba było w Gdańsku, ale i to nie było łatwe. Kiedy w 1932 roku polski kontrtorpedowiec „Wicher” wszedł do portu gdańskiego, aby zgodzić się z obowiązującym prawem, pełnił rolę gospodarza i powitał wzywające Gdańsk angielskie okręty wojenne, wybuchł konflikt, który jakoś z trudem załagodowano. Ale to już było wtedy, gdy rosła z betonu i stali Gdynia.

23 września 1922 roku Sejm Rzeczypospolitej podjął uchwałę o rozbudowie portu i przekształceniu go w nowoczesny port handlowy. 29 kwietnia 1923 roku oddano do eksploatacji port tymczasowy, a 13 sierpnia 1923 roku zawinął do Gdyni pierwszy statek handlowy — „Kentucky” pływający pod francuską banderą. W 1923 roku Gdynia przyjęła już 43 statki.

Decydującym momentem dla rozwoju Gdyni był rok 1925. Wybuchła wtedy polsko-niemiecka wojna celna. Eksport polskiego węgla do Niemiec spadł niemal do zera. W angielskich kopalniach wybuchł prawie półroczny strajk. Angielskiego węgla zabrakło krajom skandynawskim. Przed Polską otwierała się szansa zastąpienia eksportu węgla angielskiego węglem polskim. Chodziło o to, aby odbiorcy wyrobili sobie przekonanie, że nie jest to zastępstwo tymczasowe, ale że w ogóle węgiel angielski można z powodzeniem zastąpić polskim i to się opłaca. Takiej szansy nie uchwycił Gdańsk. W Gdańsku nie wierzono w polskie możliwości, powstała sytuacja oceniana jako przejściowa koniunktura i oglądano się na Niemcy. W Gdańsku po prostu nie rozumiano, że miasto i port nie mogą rozwijać się bez Polski, bez powiązań z naturalnym zapleczem gospodarczym.

W tym momencie wielkie zasługi dla Gdyni poniósł człowiek, który był wówczas ministrem przemysłu i handlu, a później premierem rządu burżuazyjnej Polski i który nie doczekał się nawet małego skrawka w Gdyni swego imienia. A przecież do dziś nazywa się go „ojcem Gdyni”. Dzięki jego reakcji na wytworzoną sytuację, w drugiej połowie 1926 roku ruszyły znów prace nad budową portu, przerwane w 1924 roku. Inżynier Tadeusz Wenda znów otrzymał możliwość realizowania swoich śmiałych koncepcji. A w Gdańsku smiano się, że bosi i niedźwi Polacy porywają się z łopatą na morze. Ale był to śmiech, który coraz częściej zastępował na ustach. Śmiech fałszywy na pokaz, bo w Gdyni do końca 1928 roku wybudowano 1613 m nadbrzeży, a w następnym roku port gdyniński miał ich już 4267 metrów. W tym samym roku w porcie gdynińskim przeladowano już przeszło 2,8 miliona ton towarów.

Tadeusz Wenda urodził się w 1863 roku. Był absolwentem petersburskiego Instytutu Komunikacji. Pracował przy rozbudowie portów w Tallinie, Odessie, Rydze. W Gdyni był kierownikiem Zarządu Budowy Portu. Port ten zaprojektował z rozmachem, z myślą o przyszłości. Dzięki niemu powstały szerokie — szersze niż w innych portach — głębokie na 12 metrów baseny, umożliwiające przybijanie do gdynińskich nadbrzeży nawet stutysięcznikom. W 1937 roku przeszedł na emeryturę. Zmarł w 1948 roku.



Fot: Archiwum

Przy Nadbrzeżu Pomorskim cumuje ORP „Błyskawica”, pełniąc zasłużone

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Z PAMIĘTNIKÓW HARRIMANA

General Bór zmobilizował około 40 tysięcy Polaków, wyposażonych jedynie w lekką broń i posiadających skromne zapasy amunicji, żywności i medykamentów do walki z Niemcami. Było to groteskowe przedsięwzięcie. Bór nie powiadomił ani słowem Rosjan o decyzji podjęcia powstania w Warszawie. Mimo że tylko Armia Czerwona stanowiła jedyne ewentualne źródło szybkiej pomocy, Bór zwrócił się z apelem od zdesperowanych powstańców warszawskich do Londynu.

Miesiąc wcześniej Harriman donosił do Waszyngtonu, że Armia Czerwona w swym natarciu, może ominąć Warszawę. Opierał on swe przypuszczenia na rozmowie, jaką przeprowadził w dniu 5 lipca z Molotowem. Molotow powiedział wtedy, że naczelne dowództwo wojsk radzieckich zamierza skierować główne uderzenie na Prusy Wschodnie i następnie w rejon północnej Polski, omijając Warszawę.

Jeśli chodziło o ewentualne frontalne natarcie Rosjan przez Wisłę do Warszawy, to Harriman doszedł do wniosku, iż Armia Czerwona musiałaby podciągnąć znacznie więcej sprzętu, aby tego dokonać. Zdaniem Harrimana zasadniczy powód zatrzymania się Rosjan nad Wisłą był nie tyle polityczny, co wojskowy. Niemcy ściągali do Warszawy trzy dodatkowe dywizje. Tymczasem Armia Czerwona dokonała w ostatnim okresie tak szybkiego skoku, że oderwała się od normalnego zapotrzebowania. Nie dysponowała ona w tym momencie ani odpowiednimi pontonami, ani możliwościami przerzucenia mostów. Rosjanie uznali, że dokonanie desantu przez Wisłę wymagałoby znacznie większych ilości sprzętu, niż te, jakimi wtedy dysponowali. Stalin nie zdecydował się więc na frontalne uderzenie w tym momencie.

Walki w Warszawie przebiegały w sposób nieunikniony na korzyść Niemców. Posłali oni w głąb miasta czołgi „tygrysy”, które wkrótce wywalczyły całą trasę przez Warszawę dzieląc powstańców na dwa odizolowane rejon.

Od 13 września samoloty radzieckie przystąpiły do zrzuć żywności dla warszawiaków. W pięć dni później Amerykanie wysłali spore zgromadzenie bombowców nad Warszawę, które dokonały zrzuć do znacznej wysokości i następnie wyładowały na terytorium radzieckim. Pojawiały się też nad miastem radzieckie lotnictwo, atakując pozycje niemieckie. Jednak amerykańskie zrzuć w ogromnej części wpadły w ręce niemieckie.

W dniu 23 września Harriman miał rozmowę ze Stalinem, w trakcie której pytał m. in. o sytuację wojskową na odcinku warszawskim. Stalin bronił decyzji Armii Czerwonej powstrzymanie się w chwili obecnej od frontalnego ataku. Mówił o Wisłę jako o ogromnej przeszkodzie. Wobec skoncentrowanego ognia niemieckiego nie można przeprowadzić przez rzekę czołgów, a bez nich trudno liczyć na pomyslną operację.

Po 62 dniach walki warszawscy powstańcy złożyli 2 października broń. Niemal 25 proc. ludności miasta zginęło lub odniosło rany. Z armii powstańczej liczącej około 40 tysięcy ludzi poległo 15 tysięcy. Straty Niemców były również poważne, mimo ich ogromnej przewagi militarnej: 10 tysięcy zabitych, 9 tysięcy rannych i 7 tysięcy zaginionych.

Polska tragedia skupiała na sobie uwagę Roosevelta i Churchilla w ciągu sierpnia i września. Teraz spotykali się ponownie, tym razem w Quebec, aby ustalić plany ostatecznego pokonania Niemiec. W ciągu 9 miesięcy, jakie upłynęły od spotkania w Teheranie, sytuacja wojskowa zmieniła się całkowicie. Armie alianckie wkroczyły na terytorium niemieckie od wschodu i od zachodu. Nikt nie był w stanie z pewnością powiedzieć, czy wojna zakończy się za parę tygodni lub miesięcy, ale finał jej był niewątpliwie bliski i nie można było dłużej odkładać szereg szczegółowych decyzji.

23 września Harriman i Clark Kerr przedstawili Stalinowi decyzję podjętą w Quebecu:

1. Europa północno-zachodnia — zamierzamy jak najszybciej zniszczyć siły niemieckie i wderać się do centrum Niemiec. Najlepsze możliwości zadania klęski Niemcom na zachodzie daje uderzenie w rejon Ruhry i Saary, ponieważ tam właśnie nieprzyjacieli zechce skoncentrować resztki swych sił. Uderzenie od północy jest wyraźnie korzystniejsze od uderzenia od południa. Ważne jest, aby przed nastaniem jesienno-zimowych warunków atmosferycznych zostały uruchomione przez nas porty północne, szczególnie Rotterdam i Antwerpia.

2. Włochy — nasze obecne operacje we Włoszech spowodują albo

a) pobicie wojsk Kesserlinga — w którym to wypadku możliwe będzie szybkie przegrupowanie naszych sił i

skierowanie ich ku lublańskiej przełęczy albo

b) Kesserlingowi uda się dokonać uporządkowanego odwrotu, w którym to wypadku będziemy musieli zadecydować się w tym roku o czyszczeniu z sił nieprzyjacielskich doliny Lombardii. Przebieg obecnych walk zadecyduje o naszych dalszych działaniach. Opracowywane są plany dokonania desantu morskiego, jeśli wymagać będzie tego sytuacja na półwyspie Istria.

3. Balkany — będziemy kontynuować operacje lotnicze oraz akcje komandosów.

4. Japonia — stawiając sobie za ostateczny cel dokonanie inwazji na główne wyspy japońskie, będziemy wzmacniać operacje bojowe na wszystkich odcinkach wojny z Japonią.

5. Uzgodniono plany szybkiego przetrzepienia sił wojskowych w rejon Pacyfiku po pokonaniu Niemiec.

Stalin odpowiedział z aprobatą na te informacje. Mówiąc o sukcesie alianckiej operacji we Francji Stalin zauważył:

„Są to wysoce śmiałe działania. Podjęto wielkie ryzyko wbijając się kłaniami w głąb terytorium zajmowanego przez Niemców. Jednak żadnego sukcesu nie osiąga się bez ryzyka”.

Stalin był też bardzo zadowolony z planów opanowania Zagłębia Ruhry i

mniej prowizorycznej odpowiedzi eo do terminu podjęcia ofensywy przez Armię Czerwoną.

Stalin odpowiedział, że Armia Czerwona czeka na poprawę warunków atmosferycznych (uprzednio powiedział to już Stalin Harrimanowi), ale wobec trudności, na jakie natrafiają wojska Eisenhowera, ZSRR gotów jest podjąć zakrojoną na wielką skalę ofensywę „nie później niż w drugiej połowie stycznia” bez względu na warunki atmosferyczne.

Nowa ofensywa radziecka rozwijała się na terytorium Polski spychając Niemców coraz dalej na zachód. Eisenhower odzyskał swą utraconą w Ardenach inicjatywę. Na czoło konferencji wysunęły się przygotowania do konferencji Wielkiej Trójki. 27 grudnia Roosevelt powiadomił Harrimana, że gotów jest spotkać się z Churchilllem i Stalinem w Jaltcie.

„Kiedy Roosevelt w drodze do Jalty przybył w dniu 2 lutego na Malte, miał przed sobą już tylko niecałe 10 tygodni życia. Jego fatalny wygląd zaniepokoił zarówno Churchilla jak i Harrimana. Pogłoski o tym, że prezydent jest chory, krążyły już przed przystąpieniem kampanii wyborczej w 1944.

Wiadomo było, że Roosevelt od 1937 cierpiał na nadmierne podwyższone ciśnienie. Lekarz prezydenta, admirał McIntire dokładał starań, aby prawda o stanie zdrowia prezydenta trzymała

wyzwolą Manilę, ponieważ Armia Czerwona toczy ciężkie boje na linii Odry.

Jeśli chodził o front zachodni, Roosevelt powiedział Stalinowi, że gen. Eisenhower nie oczekuje przekroczenia Renu przed marcem, ponieważ obecnie rzeka płynie kra, co utrudniłoby użycie pontonów. Decydujące natarcie na Niemcy od wschodu i zachodu zostało więc odłożone do wiosny.

Dyskusje w Jaltcie obejmowały szeroki wachlarz problemów: ostateczne plany pokonania Niemiec i ich okupacji oraz warunki i okoliczności udziału ZSRR w wojnie przeciwko Japonii.

Stalin gotów był przedyskutować polityczne warunki przystąpienia ZSRR do wojny z Japonią, warunki, które już wcześniej przedstawił w trakcie jednego ze spotkań z Harrimanem. Roosevelt nie widział przeszkód w odnieniu ZSRR południowego Sachalinu czy przekazaniu Wysp Kurylewskich. Jeśli chodzi o Dairen, to mógłby on stać się wolnym portem pod nadzorem międzynarodowym. Kolej mandżurska mogłaby być wspólnie zarządzana przez Rosjan i Chinczyków.

10 lutego Harriman omawiał z Molotowem szczegóły warunków przystąpienia ZSRR do wojny z Japonią. Uzgodniono następnie kwestię wspólnego zarządzania koleją mandżurską. Jeśli chodzi o Dairen, to Stalin gotów był zgodzić się na przekształcenie go w wolny port pod kontrolą międzynarodową, jednak Port Artur musi być wykorzystywany przez ZSRR jako ba-

zawie. Churchill, który już dawno zaakceptował linię Curzona, powiedział, że W. Brytania chodzi przede wszystkim o to, aby „Polska była panem we własnym domu”. Jest to dla W. Brytanii — podkreślił Churchill — sprawa honoru.

Stalin odpowiedział, że jeśli dla W. Brytanii Polska jest sprawą honoru, to dla ZSRR jest kwestią życia lub śmierci. Przez wieki Polska była korytarzem, przez który szły z zachodu ataki na Rosję. Po to, aby zablokować ten korytarz przed wszelkimi agresjami w przyszłości, ZSRR musi nalegać na to, aby Polska była silna, niepodległa i przyjazna wobec ZSRR. A jeśli chodzi o linię Curzona, to została ona wyznaczona przez Jorda Curzona i Clemenceau, a nie przez Rosjan. W międzyczasie — zasugerował Stalin — moglibyśmy pomówić o Dumbarton Oaks, ze świętym wyczuciem chwili Molotow oznajmił, że ZSRR gotów jest zaakceptować amerykański projekt systemu głosowania w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Było to ustępstwo, z którym ZSRR zwlekał od miesięcy. Roosevelt z entuzjazmem przyjął radziecką akceptację, oświadczając, iż „jest to wielki krok naprzód, który powitalny zostanie z radością przez narody całego świata”.

Po krótkiej przerwie w obradach Molotow przedstawił sześciopunktowy projekt radziecki w sprawie Polski, zawierający pewne symboliczne ustępstwa wobec mocarstw zachodnich. Po pierwsze, projekt zawierał pewne nieznaczne korekty linii Curzona na rozszerzenie polskiego Rządu Tymczasowego w Warszawie przez włączenie doń „kilku demokratycznych przywódców z kół polskiej emigracji”. Poza tym w myśl radzieckiego projektu zachodnia granica Polski miała biec od Szczecina na północ, wzdłuż rzeki Odry i dalej na południe wzdłuż rzeki Nysy. Churchill widział niebezpieczeństwo w przesunięciu granic Polski zbyt daleko na zachód. „Byłoby niedobrze tak napchać polską gęś niemieckim pokarmem, że dostałaby niestrawności” — powiedział brytyjski premier.

8 lutego Wielka Trójka znów dyskuutowała sprawę Polski. Roosevelt przedłożył amerykańską kontrproponycję, w myśl której Molotow, Harriman i Clark Kerr mieliby zaprosić do Moskwy reprezentatywną grupę Polaków w celu przeprowadzenia rozmów na temat utworzenia nowego polskiego Rządu Jedności Narodowej. Rząd ten składałby się z przedstawicieli trzech grup — Londynu, Warszawy i „innych demokratycznych elementów z Polski”. M. in. Bierut i Osóbka-Morawski reprezentowałby istniejący Rząd Tymczasowy, Mikołajczyk i Grabski Polaków londyńskich, a Witos i Sapieha „inne demokratyczne elementy” w kraju.

„Roosevelt zaproponował, aby sprawę Polski przekazać do rozpatrzenia ministrom spraw zagranicznych. Ostateczne porozumienie opracowane przez Stettinusa, Molotowa i Edena zostało zaaprobowane wieczorem 9 lutego. Stwierdziło ono m. in.:

„W Polsce stworzona została nowa sytuacja w rezultacie całkowitego wyzwolenia przez Armię Czerwoną. Wymaga to utworzenia Polskiego Rządu Tymczasowego, który miałby szerszą bazę niż było to możliwe przed wyzwoleniem Polski zachodniej. Funkcjonujący obecnie w Polsce Rząd Tymczasowy powinien zostać zreorganizowany na szerszej, demokratycznej bazie z udziałem demokratycznych przywódców z samej Polski oraz Polaków z zagranicy. Ten nowy rząd powinien być nazwany Polskim Rządem Tymczasowym Jedności Narodowej.

Panowie Molotow, Harriman i Archibald Clark Kerr zostają upoważnieni do przeprowadzenia w Moskwie konsultacji z członkami obecnego Rządu Tymczasowego i z innymi demokratycznymi przywódcami z Polski i zagranicy w celu zreorganizowania obecnego rządu w wyżej wymienionym kierunku. Polski Rząd Tymczasowy Jedności Narodowej ma być zobowiązany do przeprowadzenia wolnych i nieskrepowanych wyborów tak szybko, jak będzie to możliwe.”

Roosevelt i Churchill byli później ostro krytykowani za to, że w celu uniknięcia rozłamu z ZSRR zaakceptowali takie porozumienie. Harriman uważał wtedy, że język porozumienia jest zbyt ogólnikowy. Jednak ani przed chwilą, ani wtedy, ani później, nie sądził on, że bardziej precyzyjne sformułowanie wiele zmieniłyby.

Konferencja w Jaltcie zakończyła się 11 lutego. Komunikat końcowy po wprowadzeniu kilku poprawek podpisany został w południe przez Churchilla, Roosevelta i Stalina. Roosevelt proponował, żeby Stalin podpisał pierwszy, ponieważ „był tak wsławnym gospodarzem”. Churchill, który był w krotkochwílnym nastroju powiedział, że on powinien podpisać pierwszy, ponieważ jest najstarszy i ponieważ wymaga tego porządek alfabetyczny pierwszych liter nazwisk. Stalin zgodził się, zaznaczając, że gdyby jego podpis był pierwszy, mówiono by później, iż przewodził on konferencji.

„JEŚLI CHODZI O SPRAWĘ POLSKI...”

Saary. Wkrótce — mówił — Armia Czerwona opanuje Górny Śląsk. Hitler zostanie w ten sposób pozbawiony kopalń węgla i większości ciężkiego przemysłu zarówno na zachodzie jak i na wschodzie.

31 grudnia 1944 roku Komitet Lubelski ogłosił, że uważa się za tymczasowy rząd polski. 5 stycznia 1945 ZSRR, nie konsultując się z USA i W. Brytanią, uznał ten rząd oficjalnie.

W początkach grudnia 1944 do Moskwy przybył gen. de Gaulle ze swym ministrem spraw zagranicznych Bidault. De Gaulle, rzecz charakterystyczna, przyjechał do stolicy ZSRR bez uprzedniego porozumienia się z rządem amerykańskim czy brytyjskim. Stalin a nie de Gaulle poinformował Churchilla i Roosevelta o tym, że Francuzi proponują zawarcie traktatu o sojuszu i wzajemnej pomocy z ZSRR na wzór traktatu anglo-radzieckiego z 1942 roku.

Od chwili wyzwolenia Paryża pozycja de Gaulle'a uległa znacznemu umocnieniu. Jego rząd tymczasowy został uznany przez Stany Zjednoczone, W. Brytanię i ZSRR w końcu października. Postawa Stalina wobec de Gaulle'a uległa gwałtownej zmianie, zauważył Harriman. De Gaulle został przyjęty w Moskwie z wszelkimi honorami należnymi szefowi sojuszniczego państwa.

5 grudnia Bidault zaprosił Harrimana do francuskiej ambasady i przedstawił mu warunki proponowanego traktatu z ZSRR. Jeden z jego punktów mówił o uznaniu Komitetu Lubelskiego jako Tymczasowego Rządu Polskiego. Później, w wyniku przetargów, sprawę załatwiono kompromisowo.

„Nadzieje aliantów na zakończenie wojny jeszcze w 1944 zostały w międzyczasie pogrzebane zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie. Kiedy Harriman spotkał się ze Stalinem w dniu 14 grudnia, aby wyjaśnić, że wezbrane rzeki i wczesne chłody pokrzyżowały plany Eisenhowera dotarcia do Renu przed nastaniem zimy, Armia Czerwona przeprowadzała koncentrację w centralnej Polsce przygotowując się do swej opóźnionej ofensywy.

23 grudnia Roosevelt wystąpił do Stalina depeşe, w której prosił „ze względu na wyjątkowe okoliczności” o przyjęcie jednego z oficerów ze sztabu Eisenhowera w celu poinformowania go, kiedy można oczekiwać podjęcia radzieckiej ofensywy. Stalin wyraził zgodę i Eisenhower natychmiast wysłał do Moskwy swego zastępcę, brytyjskiego marszałka lotnictwa Arthura Teddera. W międzyczasie Churchill prosił Stalina o udzielenie przynaj-

mniej dobry, a długi konferencja zmezczyła go. Mimo tego trzeba pamiętać, że na szereg miesięcy przed konferencją rozważał on głęboko sprawy, które miały być na konferencji dyskutowane. Przybył do Jalty zdecydowany uczynić wszystko dla osiągnięcia postawionych sobie celów i prowadził pod tym kątem negocjacje ze zwykłą mu umiętnością i bystrością”.

Harriman notował w swych pamiętnikach: „Sądzę, że gdyby stan zdrowia FDR był wtedy lepszy, przedciąłby on być może konferencję i przeforsował swój punkt widzenia co do niektórych szczegółów. Nie wierzę jednak, aby sprawiło to poważniejszą różnicę np. w kwestii polskiej. W okresie konferencji jaltańskiej Armia Czerwona w pełni kontrolowała już terytorium Polski i żadne, najbardziej szczegółowe planowanie nie zmieniłoby tego faktu”.

W Jaltcie Roosevelt trwał przy swym poglądzie, że potrafi więcej dokonać w rozmowach ze Stalinem w cztery czy pięć dni niż Churchill, Departament Stanu czy brytyjskie Foreign Office. Z Churchillem spotkał się Roosevelt w cztery czy dopiero w piątym dniu konferencji. Prezydent uważał, że Stalin będzie bardziej ugodowy, jeśli alianci zachodni nie będą stwarzać wrażenia, iż działają unisono. W czasie spotkania ze Stalinem, Roosevelt mówił otwarcie o istniejących między nim a Churchillem różnicach zdań i parokrotnie czynił uszczypliwe uwagi na temat staroświeckiego przywiązania premiera do imperium brytyjskiego.

Stalin przybył do Jalty rankiem 4 lutego 1945 r. Tego samego dnia spotkał się z Rooseveltem, godzinę przed pierwszym plenarnym posiedzeniem. Roosevelt powiedział, że poczynił kilka zakładów o to, czy Rosjanie dojdą do Berlina wcześniej niż Amerykanie wyzwolą Manilę, Stalin odparł, że jest przekonany, iż Amerykanie pierwsi

za morską. W tym celu trzeba będzie zawrzeć odpowiednią umowę o dzierżawie.

Harrimanowi nie podobał się ostateczny tekst radzieckiego projektu porozumienia dotyczącego wymienionych spraw, jaki przedłożono do akceptacji i podpisu Roosevelta, Churchilla i Stalina w dniu 11 lutego. Rosjanie umieścili mianowicie w części dotyczącej kolei i portów mandżurskich zdanie mówiące o „zabezpieczeniu priorytetowych interesów ZSRR”. Harriman miał zastrzeżenia wobec sformułowania „priorytetowe interesy” i przekazał swą opinię Rooseveltowi. Ten jednak nie był w nastroju do stwarzania problemu z takich czy innych słów tekstu. Podpisany dokument nie został wspomniany w oficjalnym protokole z konferencji jaltańskiej. Zamknięto go w osobistym sefiesie Roosevelta w Waszyngtonie.

Wiele godzin poświęcono w Jaltcie obradom nad tym, jak należy potraktować Niemców po wojnie. Na posiedzeniu w dniu 5 lutego Stalin oświadczył, że Niemcy powinny zostać podzielone i zobowiązane do wypłacenia odszkodowań. Churchill sugerował odłączenie od reszty Niemiec oraz utworzenie ewentualnie innego państwa niemieckiego z części południowych Niemiec i Austrii. Stolicą byłby Wiedeń. Ciągłe wygływały jakieś nowe kwestie: co z Zagłębiem Ruhry? Co z Saarą? Churchill ostrzegał, że Niemcy będą walczyć jeszcze bardziej zawzięcie, jeśli powie im się, że ich kraj ma zostać podzielony.

Na posiedzeniu ministrów spraw zagranicznych w dniu 7 lutego Molotow zaproponował odszkodowania (od Niemiec) na łączną sumę 20 miliardów dolarów, z czego 10 miliardów przypadłoby dla ZSRR. W rezultacie uzgodniono, że zostanie powołana komisja do spraw odszkodowań, która za punkt wyjścia do dyskusji przyjmie radziecką propozycję ustalenia ich na poziomie 20 miliardów dolarów. Zgodę co do tego wyraziły delegacje: amerykańska i radziecka. Delegacja brytyjska sprzeciwiła się wymienianiu jakiegokolwiek wysokości odszkodowań, dopóki sprawa nie zostanie zbadana i przedyskutowana przez wspomnianą komisję.

Jeśli chodzi o sprawę Polski, to została ona w znacznej mierze przesądzona zanim jeszcze przystąpiono do omawiania jej w Jaltcie. Na całym polskim terytorium znajdowały się już wojska ZSRR. Jego lubelscy sojusznicy wydawali rozporządzenia i pilnowali ich wykonania.

„Roosevelt, podejmując w Jaltcie w dniu 6 lutego temat polski, wskazał, że Stany Zjednoczone gotowe są zaakceptować linię Curzona jako wschodnią granicę Polski. Zasugerował również utworzenie rady prezydenckiej polskich przywódców reprezentujących



## REPORTAŻ

# CHOROBA NA FUTRO

Dalszy ciąg ze str. 1

Stoję wśród rzędów drewnianych, osiatkowanych klatek. W słońcu iskrzy się „puszyste złoto”. Lisy. Krzywię się z niesmakiem, od klatek ciągnie nieprzyjemny fetorkiem. Mężczyzna w kraciastej koszuli, z którym rozmawiam, jest autentycznym hodowcą.

— Mity narodziły w latach pięćdziesiątych. Kilogram karmy kosztował 3 grosze, ceny skór były wysokie. Potem cena karmy poszła w górę, a ceny skór spadły...

— Co jest opłacalne?

— W ubiegłym roku warto było hodować drób. Ale nie na noski, liczą się brojlery. Wynikają jednak kłopoty z paszą...

Spółdzielnia dostarcza hodowcom karmę i zapewnia pomoc zootechniczną. W ostatnim kwartale zamówiono 780 ton karmy. Otrzymało 32 tony karmy ryбно-mięsnej...

— Króliki są opłacalne?

— Stado do dziesięciu samic. Przy większym stadzie masa roboty i ogromne ilości pokarmu. Królik bardzo dużo żąda, nutria mniej, ale wielkie stado nutrii też jest nieopłacalne. Swego czasu w województwie zielonogórskim nutrie zjadły krowy...

— Ale pan się trzyma zawodu?

Śmieje się.

— Idzie o to — mówię — żeby te naszą pracę podnieść wreszcie do rangi zawodu. Dajemy produkcję rolniczą, prawie wyłącznie dewizową.

— Mimo to trzyma się pan hodowli — upieram się.

— Bo to jest ciekawa praca. Ale ciężka. Fama o biznesie krąży wokół „dwuzawodowych”, pseudohodowców z niezłym uposażeniem w zakładzie pracy. Ja wstaję o piątej rano, zadaję karmę, to się ciągnie do dziewiętej. Wybieram nie zjedzone odpadki. W południe pojenie. Po południu przygotowywanie karmy, zadawanie, wybieranie odpadków. Tak do wieczora... Nigdy nie mam urlopu. Wie pan, na przedwiośnie krycie samic, wykoty, latem odchów młodych, pielęgnacja, jesienią ubój, skórowanie. Chwila odpoczynku jest na Boże Narodzenie...

— Ile pan bierze za jedną skórę?

— Maksimum tysiąc czterysta złotych.

— A jaka jest cena eksportowa?

— Tego nie wiem, proszę spytać fachowców. Ja mogę tylko powiedzieć, jak wygląda prawda o tym biznesie. Mamy limit na trzydzieści pięć samic lisich. W ramach limitu podatek jest zryczałtowany, sto złotych od samicy. Powyżej limitu leci domiag. To nie jest wielki biznes, dochód miesięczny w

granicach 4—5 tysięcy. Taką jest pensja w fabryce czy na budowie. Ludzie rzucają hodowlę, idą do przemysłu. Jak tam coś nawali, nie nie tracą. Tutaj jest ryzyko. Widzi pan tego lisa? — pokazuje zwierzę o poszarpanym futrze. — Sam się, cholernik, wystrzygl kłami. Takie wypadki często się zdarzają. Ponadto są choroby dziesiątkujące stado, na których hodowca się nie zna i nie potrafi zapobiec. Lisy na wolności, w razie niebezpieczeństwa, przenoszą młode w inne miejsce. W klatce, lekko podrażnione lub przestraszone, zagryzają potomstwo...

— Jako członek spółdzielni, otrzyma pan odszkodowanie.

— Niestety, PZU nie ubezpiecza zwierząt.

3.

Spotkałem młodego entuzjastę, doktora Jana Barteczkę. Jest adiunktem w Instytucie Zywienia Zwierząt Akademii Rolniczej w Krakowie. W ramach doktoratu zajął się między innymi zwierzętami futerkowymi mięsożernymi. Opowiada, rzuca ciekawostkami, pokazuje zwierzęta. Piżmaki i szopy, tych nie hoduje się na skalę towarową. Kilku hodowców zaledwie zajmuje się reprodukcją roślinożernych szynszyli. Są białe, podobne do wiewiórki, pokarm wybierają łapkami i wkładają do pyszczki. Tchórzofretka jest przemiłym zwierzątkiem. Długi, ciemny włos, pod nim żółtopomarańczowe futerkowe podbicie. Da się ośwoić. Norka to wampirzyca, gryzie. Ale piękna. Futro czarne, białe, beż, fioletowe. Ciąży u norki trwa od 32 do 52 dni. Sprawia kłopoty, przykro rozczarowuje. Jest długi czas ciężarna, a potem plód zanika, nie ma poronienia.

— Ludzie mówią — wtrącam — że nutrie można skrzyżować ze szczurem. Brzydzą się mięsa, a dyrektor Klimczak chwalił się, że jadł znakomitą pieczeń z nutrii.

— Skrzyżować nutrie ze szczurem, to tak, jakby na przykład skrzyżować człowieka... z krową. Tak odległe są w systematyce te zwierzęta. Nutria jest roślinożerna, je to samo, co królik. Jej mięso zalicza się do półdzikich, jest różowe i przypomina wołowinę. Nikt jednak nie skupuje takiego mięsa, bardzo zresztą smacznego, wobec czego hodowcy karmią nim lisy.

— Ze względu na deficyt paszowy?

— To jest problem. Ja panu coś powiem, byłem na Światowym Kongresie Hodowców Drobnych Inwentarza w Helsinkach. Wszyscy wyrażali się o Polakach z uznaniem, podkreślając nasze znakomite osiągnięcia. Bo my jesteśmy potentatem światowym, zwłaszcza w hodowli lisów srebrzystych. W związku z utrzymującą się modą retro, myśmy sprzedali wszystko za granicę. A nasze eleganki też chciałyby się stroić. Na aukcjach w Oslo, To-

kie, w Stanach Zjednoczonych otrzymujemy najwyższe noty. Krajowy hodowca na lise srebrzystym nie zbije majątku, ale zagranicą dobrze zapłaci.

— Mielśmy mówić o paszach...

— Tak, zagalopowałem się. Na świecie wszędzie tam, gdzie działa Bacutil, na mączki idzie surowiec, który nie może być wykorzystany w żywieniu zwierząt futerkowych mięsnych. U nas prowadzi się nieracjonalną gospodarkę, chociaż bazę paszową mamy lepszą niż na przykład Finowie. Ale oni zaczynają nas przeskakiwać, odbierają nam monopol na lisa. Oni importują mięso, nie mają więc odpadów, ale oplaca im się sprowadzać paszę dla zwierząt futerkowych. My, odwrotnie — eksportujemy mięso, mamy dużo odpadów z rzeźni bydłych, drobiowych, ale odpady wykorzystywane są nieracjonalnie. Czy pan wie, że u nas krew odprowadza się do ścieków? W dobie deficytu żywi się zwierzęta niewykorzystanymi dotąd w ubojniach narządami rodnymi. Ale one posiadają wiele hormonów, które źle wpływają na płodność zwierząt futerkowych. Trzeba wiedzieć, ile tej karmy zadawać i kiedy, ja zajmowałem się tym w czasie robienia doktoratu. Są jeszcze ukryte rezerwy paszowe, ale pracę nad tym powinien podjąć jakiś ośrodek naukowy, bo hodowca nie może ryzykować eksperymentami. Jak dotąd jednak nauka nie zajęła się tym problemem, a szkoda... Szukanie rezerw w dużych fermach hodowlanych zamyka koło: PGR może prowadzić wielką fermę króliczą, ale w ten sposób okradnie z paszy cielęta...

4.

Wracam do dyrektora Klimczaka. Opowiada o dwóch najstarszych i najbardziej doświadczonych hodowcach w Polsce: Stanisławie Roguskim, który pracuje w fermie PGR w Skolimowie, i jego bracie Władysławie, zatrudnionym w Krajowej Spółdzielni w Warszawie. Władysław zobaczył przed wojną w pokoju hotelu „Europejskiego” dwie srebrne skórki i zakochał się w lisach. Zatożył fermę we Władkowicach. W czasie okupacji Niemcy chcieli przewieźć fermę do Lubiechowa i rozkazali zbijać klatki. Władysław poszedł do nadleśnictwa, postawił litr spirytusu i otrzymał zaświadczenie, że nie ma drewna na transportery. Ferma została, po wojnie Roguski przekazał ją nieodpłatnie państwu. Teraz wspomina, jak to kiedyś za dwa lisy można było kupić samochód, a dzisiaj rower.

Klimczak przynosi gołębia, wkłada mi w rękę, ptak ze strachu robi kupkę na dywan, ale na wadze nie traci: waży chyba kilogram. To jest amerykański obrzym rasy „King”, w hodowli jako brojler opłacalny. Są jeszcze fantazyjnie upierzone obrzymy węgierskie, murzyni polskie i „Strasery”. Ale u nas smacznego mięsa gołębiego nie uświadczy.

— W Łodzi był na wystawie gołąb oszacowany na trzydzieści tysięcy złotych. Dobry srebrniak kosztuje 3—8 tysięcy. W Jugosławii za pięknego gołębia ozdobnego płaci się tyle, ile za samochód — 150 tys. dinarów.

— Nas na takie kosztowne hobby nie stać.

— Ale stać nas choćby na futro z królików. Kupcy zagraniczni pytają o te futra, ale my ich nie szujemy. Trzeba się wziąć za konfekcję. Gdybyśmy wzięli przykład z NRD, część skór została by w kraju. Preferujemy niewielkie fermy królicze i małą hodowlę nutrii. Cena nutrii poszła w górę. Spółdzielnia idzie z pomocą hodowcom nutrii. Ale wracając do NRD — tam działkowicz otrzymuje działkę pod warunkiem, że wykorzysta ją, oprócz uprawy warzyw i owoców, na hodowlę zwierząt futerkowych lub drobiu. U nas na działkach hodować nie wolno...

A tymczasem niemal wszystkie skóry z Polski idą na eksport.

Z braku pasz stan pogłowia zmniejsza się, autentyczni hodowcy zwiżają interes.

Zagranicą płaci za skórę lisa od 100 do 250 dolarów.

Rozmawiałem z fachowcem, który w dość zawiłym wywodzie logiczno-ekonomicznym doszedł do wniosku, że gdyby za tę samą ilość dewiz zakupić paszę dla świń i lisów, a następnie sprzedać uzyskane z tej paszy skóry i szynki, to za skóry otrzymalibyśmy sześć razy więcej dewiz niż za szynki. Ostatnio władze centralne, oprócz hodowli trzody i bydła, preferują także produkcję drobiu i zwierząt futerkowych. Jednakże tzw. głęboki teren odnosi się do tych spraw negatywnie. Czyżby nadal ciążyła i szkodliwa fama otaczająca „dwuzawodowych” pseudohodowców?

RYSZARD BINKOWSKI

## KSIĄŻKA

# POKER O ŻYCIE

Ryszard Liskowacki jest jednym z płodniejszych pisarzy średniego pokolenia. Uprawia poezję, prozę, dramat. Jest laureatem kilku nagród literackich. Znaczna część jego dorobku to książki dla młodzieży. Stąd też zapewne przywykł Liskowacki do sensacyjnego widzenia rzeczywistości.

Jego najnowsza powieść jest utworem par excellence sensacyjnym. Sensacyjność nie ma tu wszakże nic wspólnego z potocznym rozumieniem słowa, daje książce dodatkowy walor w sposób podobny nieco do „Akropolisu” Jerzego Putramenta, gdzie sensacyjne ujęcie wyrażnie ożywiło wątki polityczne. Fabuła obfituje w emocjonujące wydarzenia i niespodziewane zwroty akcji, bohater przez cały niemal czas oscyluje na granicy ryzyka, przebieg akcji jednakże motywowany jest w pierwszym rzędzie wydarzeniami historycznymi. „Teraz zawsze nigdy” jest bowiem książką o dziejach naszego narodu w tragicznych latach okupacji hitlerowskiej i w pierwszych kilkunastu latach po wyzwoleniu. Dzieje te ukazane zostały poprzez dramat jednostki wplątanej w tryby Historii. Jak pisał Broniewski: „Historia gniewa nas i lamie...” W sformułowaniu owym streszczyć dają się losy bohatera powieści — Romana R. (vel porucznika „Lilka”)

Losy może trochę dziwne, ale jakże symptomatyczne zarazem. Potomek podupadłego rodu szlacheckiego zrywa z rodziną wskutek megalomanii, jaki popełnił był żeniąc się z córką robotnika na krótko przed wybuchem wojny. W okresie okupacji zbliża się do lewicy społecznej, walczy potem w Gwardii Ludowej, a następnie działa w kontrywywiadzie Armii Ludowej. Bezpośrednio po wojnie — jako oficer Urzędu Bezpieczeństwa — walczy przyczyniając się do rozgromienia bandy „Sępa”. Jest jednym z pionierów w Szczecinie. Zostaje wreszcie publicystą (pierwsze próby czynił jeszcze przed wojną w „Robotniku”). Ale walkę o realizację planu 6-letniego przerywa aresztowanie i pobyt w więzieniu, kulminacyjny niejako moment w życiu Romana R., kiedy to „upaść nie pod ciężarem zarzutów, ale słabością własną przygnieciony. I gdy się podnosił nie z wiarą, że jedno sprawiedliwe słowo może go uzdrowić, ale z nadzieją, że wystarczy się wyprostować, aby można było spojrzeć na nich z góry. I gdy dni zamieniały się w tygodnie, a ty-

godnie w miesiące, wyrzekał się siebie, aby znów w siebie uwierzyć...”

W zwykłej powieści sensacyjnej bohater nie musi być indywidualnością, autor interesuje się nim raczej tylko jako typowym uczestnikiem kolejno następujących po sobie wydarzeń. Roman R. — jakkolwiek dzieje jego dostarczają niemało okazji do typizacji zjawisk natury społecznej i politycznej — jest postacią bardzo zindywidualizowaną. Postępowanie Romana motywują nie tylko racje społeczno-historyczne, ale również psychologiczne. Jego „poker o życie” (w ten sposób sam myśli o swojej walce) wynika nie tylko z pryncypialności i wiary w wyznawane poglądy polityczne (które notabene ujawnia z rzadka i może zbyt symbolicznie — pof. np. rozmowę ze „Smukłym” o orle z koroną). Bo przecież Roman R. posiada cechy watażki — sam, bez konsultacji z przełożonymi, likwiduje gestapowskiego szpicla Wodeckiego, w pojedynkę rozpracowuje bandę.

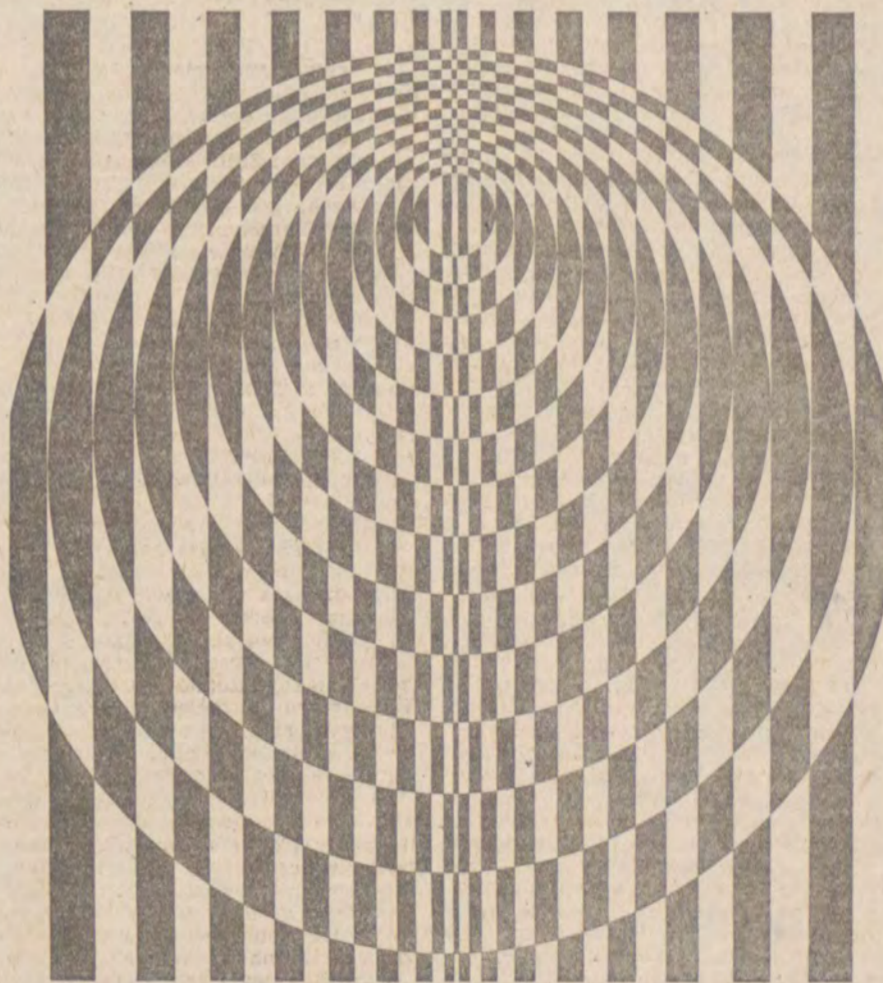
Poker to gra hazardowa. Bohater Liskowackiego hazarduje się o stawkę najwyższą — chce poznać całą prawdę o człowieku i prawdę o naszych czasach. Przez całe, obfitujące w wydarzenia, życie „sporządza ten ważny rachunek”, myśla przewodnią są mu słowa, które zapożyczyłem jako motto recenzji. Czy ją znajduje? Nie odpowiem, bo choć zachęcić do lektury tej niebanalnej książki.

Z pewnością i sprawy warsztatowe zwrócą uwagę czytelnika. Powieść skomponowana została z dziesięciu „Informacji o Romanie R.”, napisanych przy zastosowaniu różnicowanych technik literackich, umiejętnie przemieszanych. Dużą rolę w organizacji tej prozy odgrywa: zabieg powtarzalności — pisarz w każdym rozdziale stopniowo uchyla rąbką tajemnicy i — choć nieregularnie — wraca do podjętych wcześniej spraw, uzupełnia je, inaczej nieco rozkłada akcenty.

„Teraz zawsze nigdy” stanowi znakomite potwierdzenie stalego rozwoju talentu Liskowackiego.

TADEUSZ BŁĄŻEJWSKI

R. Liskowacki, Teraz zawsze nigdy, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1976, nakład 10 000 + 200 egz., cena zł 20,—



Bridget Riley (W. Brytania) „Okrąg przyspieszenia”, 1961, gwaz. Fot. Zdzisław Sowiński



## NASZA DOZORCZYNI I PRZEPISY

Nasza dozorczyńca jest miłą, uprzejmą starszą panią, która przywykła traktować nas wszystkich — lokatorów posesji, jakbyśmy byli jej dziećmi. Dba o nas, godzi zważonych, daje sobie radę z najbardziej zadziornymi głowami rodzin, kiedy sobie podchmieli. Słowem jest bardzo czynna i zawsze robiła co mogła, aby nasza posesja, choć stara jest i wysłużona, była czysta. Pani dozorczyńca płaci za nas światło, gdy nie ma nas w domach, odbiera i przechowuje listy, które do nas przychodzą, a nawet budzi, kiedy i oto ktoś z nas ją poprosi.

Nasza dozorczyńca jest wieloletnim pracownikiem Rejonu Obsługi Mieszkańców Nr 1 w Łodzi, toteż nie pełniła wyłącznie funkcji gospodyni naszej posesji, ale powierzono jej także nadzór nad połową placu przy ulicy Sienkiewicza 98, na wprost Pogotowia Ratunkowego, czego dowodem jest posiadana przez nią umowa z wymienionym już ROM. Do umowy tej jednak wkładła się drobna pomyłka. Pomyłono po prostu numery i zamiast 98 wpisano 82. Wszystko było jednakże dobrze, bo my, mieszkańcy naszej posesji mieliśmy swojego anioła stróża, a plac przy ulicy Sienkiewicza 98 był zawsze omieciany tak jak należy. Ale oto przytrafiło się naszej pani dozorczyńcy nieszczęście.

W dniu 20 marca 1976 r. po usunięciu śniegu sprzed naszej posesji, pani dozorczyńca szła ulicą, aby tę samą pracę wykonać na placu przy ulicy Sienkiewicza 98. Pośliznęła się i upadła, łamiąc sobie rękę. I od tego momentu zaczęła się cała seria nieszczęść. Złamanie ręki okazało się bardzo skomplikowane, do tego stopnia, że ręką dała się jako tako złożyć dopiero po dwukrotnym składowaniu. Nasza dozorczyńca jest od tego czasu na zwolnieniu lekarskim. Komisja lekarska stwierdziła 7 proc. trwałego kalectwa. PZU wypłaciło poszkodowanej ponad 3 tysiące złotych, ale za to w ROM-1 i w Przedsiębiorstwie Gospodarki Mieszkaniowej Łódź-Sródmieście przy ulicy Buczka 6 zaczęto robić wszystko, by jak najprędzej zapomnieć o naszej dozorczyńcy. Stwierdzono tam nagłe, że połowa placu przy ulicy Sienkiewicza nie znajduje się w administracji ROM-1. Pomyśleliśmy, że może tak być istotnie skoro nasza dozorczyńca omiatała plac przy ulicy Sienkiewicza 98, a w umowie, którą posiada, wymieniono numer 82, przy czym naprawde była to tylko zwykła pomyłka. Ale plac ten wskazał naszej dozorczyńcy były administrator w ROM-1, który jest gotów, jak twierdzi poszkodowana, zaświadczyć o tym gdyby ROM-1 i PGM Łódź-Sródmieście nadal podtrzymywały swoje poglądy w tej sprawie. A jest to sprawa o tyle zagmatwana, że na przykład w protokole sporządzonym na okoliczność wadomego wypadku, jest wymieniony adres Sienkiewicza 100. Tym razem pomylił się sporządzający ów protokół behapowiec z PGM.

W rezultacie w wypłacaniu naszej dozorczyńcy zasiłku chorobowym przez ROM-1 nie uwzględniono należności za prace na owym tajemniczym placu, chociaż do czasu wypadku nikt nie kwestionował wyższej, bo pobieranej za prace na nim pensji. W momencie gdy pisze o tej historii, nasza dozorczyńca poinformowała mnie że łzami w oczach, że w ROM-1 kazano jej zgłosić po wypowiedzeniu z pracy, bo już za długo sobie choruje i prawo jest po stronie ROM.

Wszystko to jest bardzo dziwne. Człowiek przez wiele lat pracuje w jakiejś instytucji. Służy tej instytucji. A kiedy zdarzy się wypadek przy pracy, człowiek od razu przestaje być potrzebny, bo sprawa już tylko kłopot.

A ja bym zapytał na przykład PGM Łódź-Sródmieście, czy pani dozorczyńca nie należy się w tej sytuacji jakaś prawnie usankcjonowana gratyfikacja moralna? Coś mi się jednak wydaje, że wszystko wskazuje na to, iż dla PGM Łódź-Sródmieście człowiek znaczący coś tylko dotąd, dopóki sobie czegoś niechający nie złamie.

Bardzo się martwię o zdrowie i losy naszej dozorczyńcy, bo bez niej jest jak bez ręki, a mało jest przecież ludzi tak dobrych jak ona. A myślę, że i ROM-1 traci dobrego i sumiennego pracownika. Mówię o tym nie bezpodstawnie, bo w roku 1970 w tym samym PGM Łódź-Sródmieście wręczono naszej dozorczyńcy dyplom za sumiennosc, mienność, ofiarnosc i szczerze zaangażowanie w wykonywaniu obowiązków służbowych. Wtedy jednak było inne chyba kierownictwo i jak mi się zdaje inaczej trochę brzmiała nazwa tego przedsiębiorstwa, ale już to oczywiście nie ma tu nic do rzeczy.

ANDRZEJ  
W. MIKOŁAJEWSKI

## PRZEMYSŁ

**Moda na wykładanie płytkami ceramicznymi łazienek i kuchni osiągnęła swój szczyt. Ludzie przemierzają kraj, wierzząc, że właśnie w miastach oddalonych od ich miejsca zamieszkania zdołają nabyć te polerowane kwadratowe cuda. Dalekim wyprawom towarzyszy jednak rozczarowanie: płytek ceramicznych nigdzie nie ma. Co bardziej obrotniejsi, docierają do producenta. Ale i tu okazuje się, że płytek nie ma, wszystko, co zdoła się wyprodukować natychmiast jest przekazywane do handlu. Jak więc naprawdę jest z tymi płytkami? Są, czy ich nie ma?**

Potentatem dostarczającym płytki ścienne i podłogowe są Zakłady Płytek Ceramicznych „Opoczno” w Opocznie, stare, zasłużone zakłady ze stuletnią tradycją, bowiem pierwszy zakład uruchomiono tu w 1877 roku. Drugi wybudowano w 1936. Oba te zakłady należały do Spółki Akcyjnej Dzielwulski — Lange, a ich produkcja wynosiła zaledwie kilka tysięcy sztuk płytek rocznie.

Po wojnie, kiedy ruszyło budownictwo mieszkaniowe i rozwinął się z niebywałym rozmachem przemysł okrutny, stare zakłady przestały wystarczać, ich urządzenia pamiętające czasy cesarza Franciszka Józefa, okazały się po prostu niewystarczające, piece okresowe — to jedne z ostatnich jakie w ogóle istnieją w przemyśle ceramicznym. Zaszła więc konieczność wybudowania nowego, już trzeciego w kompleksie opoczyńskich zakładów, przedsiębiorstwa. Piszę przedsiębiorstwa, bowiem nowy zakład powstał w 1963 r. — to potężny kombinat, całkowicie zmechanizowany, zmodernizowany i dający największy procent produkcji.

Tak więc wraz z potrzebami rynkowymi, rosła produkcja. Trzeci zakład w chwili uruchomienia dawał na rynek 1.600 tys. m kw. płytek, dziś ten sam zakład produkuje ich ponad 2.200 tys. m kw. W sumie opoczyńskie Zakłady Płytek Ceramicznych wytwarzają 1.800 tys. m kw. płytek podłogowych, oraz 1.300 tys. m kw. płytek ściennych. Jest to imponująca ilość, a zarazem ilość znikoma, zważywszy wzrastające nieustannie zapotrzebowanie na tego typu wyroby.

Więc jak to właściwie jest? Produkcja wzrasta, a ludzie nadal przemierzają kraj w poszukiwaniu emalowanych wykładzin, nadal słyszy się zarzut, że pewnie wszystko pochłania eksport, bo przecież jest niemożliwością, by te miliony nie docierały do sklepów. Powyższe pytanie postawiłem dyrektorowi Zakładów Płytek Ceramicznych „Opoczno” inżynierowi Józefowi Grochotowi.

— Płytek jest za mało, to prawda, bowiem istniejące trzy zakłady w Opocznie nie są w stanie zaspokoić istniejących potrzeb. Dlatego też zapadła decyzja budowy jeszcze jednego zakładu, czwartego, który będzie produkował pięć milionów metrów kwadratowych płytek ściennych rocznie. To będzie poważny zastrzyk dla budownictwa, być może skończyć się kłopoty odbiorców indywidualnych z otrzymaniem potrzebnych wykładzin. Nie jest też prawdą, że eksportujemy nasze wyroby poza granicę kraju: eksport nasz wynosi zaledwie 0,5 proc. i jest prowadzony w ramach handlu wewnętrznego. Natomiast wszystko, co opuszcza nasze zakłady pozostaje w kraju. Prawdą natomiast jest fakt, że nasze wyroby posiadają standard światowy i w niczym nie ustępują wyrobom tego typu z Włoch czy Hiszpanii uchodzącym za najlepsze na świecie.

Jeszcze nie tak dawno wystarczały płytki w jednym kolorze, dziś wprowadzono całą gamę kolorów oraz dekoracji metodą siatkodruku. Ponadto zastosowano farby reaktywne, co sprawiło, że osiągnięto, wspomniany przez dyrektora, standard światowy. Aby zaspokoić wymagania odbiorców zaczęto produkować płytki o nowych wzorach dekoracyjnych. Tylko w bieżącym roku wprowadzono takich wzorów dziesięć, w przyszłym będą dalsze. Oprócz tego w przygotowaniu znajdują się dwa nowe rodzaje płytek podłogowych — jeden o nowej fakturze, drugi o nowym kształcie. Aby dobitnie uświadomić sobie wysiłek 1700-osobowej załogi, należy przytoczyć kilka cyfr świadczących zarówno o ambicjach jak i o zaangażowaniu wszystkich pracujących w Zakładach Płytek

Ceramicznych. Otóż wychodząc naprzeciw potrzebom rynkowym postanowiono, że tegoroczny plan wynoszący 380 mln zł zostanie przekroczony o całość 14 milionów. Również wzrosła ilość płytek pierwszego gatunku: w ubiegłym roku było to zaledwie 23 proc. całości wyrobów, dziś, za osiem miesięcy, osiągnięto już 50 proc., a w produkcji płytek podłogowych aż 78 proc. Jest to bardzo wiele, ale jak na stare zakłady — osiągnięto właściwie pułap możliwości. Dlatego z taką niecierpliwością czeka się w Opocznie na budowę nowego zakładu, która to ruszy jeszcze w tym roku.

Wraz z głównym technologiemi mgr inż. Alfredem Czyżewskim przemierzylem ogromne hale zarówno zakładu III jak i starego zakładu II. Płytki

należą do najłatwiejszych. W zakładzie III, tym wybudowanym po wojnie, uwzględniono normy przewidziane przez zakład higieny pracy dla tego typu placówek produkcyjnych: a więc odpowiednia klimatyzacja, nawilgotnienie, zmniejszenie do minimum zapylenia, mechanizacja pracy, szczególnie na odcinkach wyjątkowo trudnych (kotłownie, piece). Gorzej przedstawia się ta sprawa w starych zakładach. Mówi palacz pieców 20-komorowych — Franciszek Rożej:

— Pracuję tu już 22 lata, początkowo byłem ladowaczem pieców komorowych, potem palaczem pieców okrągłych tj. periodycznych, a ostatnio jestem przy piecach dwudziestokomoro-

ale ustokrotniła się także produkcją, zmienił się system zarządzania. Zarówno Janusz Wijata jak i Józef Wolkiewicz u początków powstawania nowoczesnego przemysłu ceramicznego w Opocznie pracowali wraz z dyrekcją łopatom przy usuwaniu gruzów i porządkowaniu terenu. Dziś nikt tego od nich nie wymaga, bo i wymagania uległy diametralnej zmianie. Obaj są wysoko wykwalifikowanymi pracownikami, odpowiedzialnymi za swoje odcinki pracy, szanowanymi przez kolegów, cenionymi przez dyrekcję zakładów. A dyrektorzy? Ci niech się martwią jak zaspokoić potrzeby na wrażliwej z dnia na dzień zamówienia. W takim kombinacie, jakim są Zakłady Płytek Ceramicznych w Opocznie drogi wielu ludzi mijają się z sobą, ale praca każdego z nich jest przetwarzana w gotowy produkt, jakim są te wszystkie kolorowe płytki.

Jak wszędzie, kłopotów jest wiele: od dwóch lat w Opocznie nie oddaje się nowych mieszkań. To nie przyciąga ludzi, choć opoczyńskie nie leży na końcu świata. Dlatego też dyrekcja zakładów czyni starania, by w momencie rozpoczęcia budowy nowego zakładu, zacząć kłaść fundamenty pod nowe bloki dla swoich pracowników. W planie przewidziano wybudowanie 405 mieszkań. Będzie to początkiem nowego osiedla robotniczego w mieście słynącym przede wszystkim z pięknego folkloru kultywowanego przez jego mieszkańców z niezwykłą pieczołowitością.

W „ceramicie” pracuje wielu mieszkańców Opoczna, wielu dojeżdża codziennie z odległych nierzaz wiosek. Są wśród nich ludzie niezaradni i piękni głosami, umiejący grać na ludowych instrumentach. Dlatego logiczną konsekwencją tego, było powołanie w zakładach zespołu folklorystycznego — „Tramblanki”, słynnej dziś nie tylko w kraju, ale i daleko poza jego granicami. Zespół kierowany przez mgr Władysława Lewandowskiego liczy 36 osób (kapela ludowa oraz grupa tańcowa). Członkowie „Tramblanki” nie korzystają w zakładzie ze specjalnych przywilejów, nie są zwalniani z pracy na próby, tylko zbierają się po całodniowej pracy i ćwiczą. Nawet wyjazdy zagranicę muszą odbywać się w ramach ich urlopowych wypoczynkowych. A mimo to, a może właśnie dlatego, zespół odniósł sukces na festiwalu folklorystycznym w Szwecji, a także będzie wkrótce reprezentować zespół związkowe Polski na podobnym festiwalu w Szeged na Węgrzech. Piszę o tym, bowiem dobrze to świadczy o załodze, która potrafi nie tylko dobrze pracować, ale również dobrze bawić się bawiąc innych.

A płytki ceramiczne będą na pewno. Kiedy tylko ruszy budująca się często opoczyńska fabryka.

EUGENIUSZ IWANICKI

# GDZIE SĄ PŁYTKI CERAMICZNE?

ceramiczne produkuje się z glin, które są podstawowym surowcem plastycznym, oraz z dodatków (skała, dolo-mit, rudy) służących do barwienia płytek, a także z innych surowców. Zgodnie z recepturą wszystko to jest wżone i mielone w młynach kulowych (w przypadku płytek ściennych — mielenie na sucho, dla płytek podłogowych — mielenie na mokro). Następnie tak spreparowana masa zostaje sprasowana pod ciśnieniem 250 atm/cm kw. Na specjalnych wózkach przetacza się wszystko do suszarni tunelowej, gdzie w temp. 100 stopni C masa jest poddawana suszeniu w ciągu 80 godzin. Stąd wózek przetacza się do pieców tunelowych do wypalania (podłogowe wypala się przez 80 godzin w temp. 1.160 stopni i w ten sposób otrzymuje się gotowy już produkt, mający wszystkie potrzebne właściwości: nasiąkliwość, wytrzymałość mechaniczną, ścieralność, barwę). Natomiast płytki ścienne początkowo wypala się na tzw. biskwit w temp. 1.040—1.050 stopni, a po wyjściu z pieca i po dokonaniu sortowania, zostają poszkliwione na specjalnych urządzeniach, na tzw. liniach szklifierskich. Następnie za pomocą sitodruku są dekorowane w różne wzory i w kasetach ogniowatych wprowadzane do pieców elektrycznych. Ten ostatni wypał ma na celu zeszklenie powierzchni płytki.

Do szklifierki, jako szklivo podstawowe, stosuje się szklivo białe. By uzyskać potrzebną barwę, do białego są dodawane barwniki sprowadzane z importu. Samo dekorowanie płytek, to rzecz zupełnie nowa, stosowana zaledwie od dwóch lat. Aktualnie płytki podłogowe produkuje się w kilku asortymentach: 5x5, 10x10 i 15x15. Podstawowe kolory, to biały, szary, czarny, czerwony, żółty i beżowy. Natomiast płytki ścienne mają jeden wymiar 15x15, za to posiadają wszystkie możliwe kolory oraz wzory. W Opocznie nieustannie dokonuje się usprawnień i innowacji. Są prowadzone próby z nowymi płytkami typu „marmurek” i „porfir”. Będą to płytki fakturowane, tzn. nierówno zaszklione, co daje wielokolorowość oraz nierówną powierzchnię. Właśnie ten typ płytek ściennych jest najbardziej poszukiwany na rynku, jest najmłodniejszy.

Płytki z Opoczna zyskały sobie zaśluzoną renomę. Korzysta z nich przede wszystkim budownictwo mieszkaniowe i przemysłowe. Poszukują je odbiorcy indywidualni do kuchni, łazienek, mieszkań, zamawiają je rzeźnie, piekarnie, wytwórnie wód, win, przetwórcy owoców itp.

Praca w zakładach ceramicznych nie

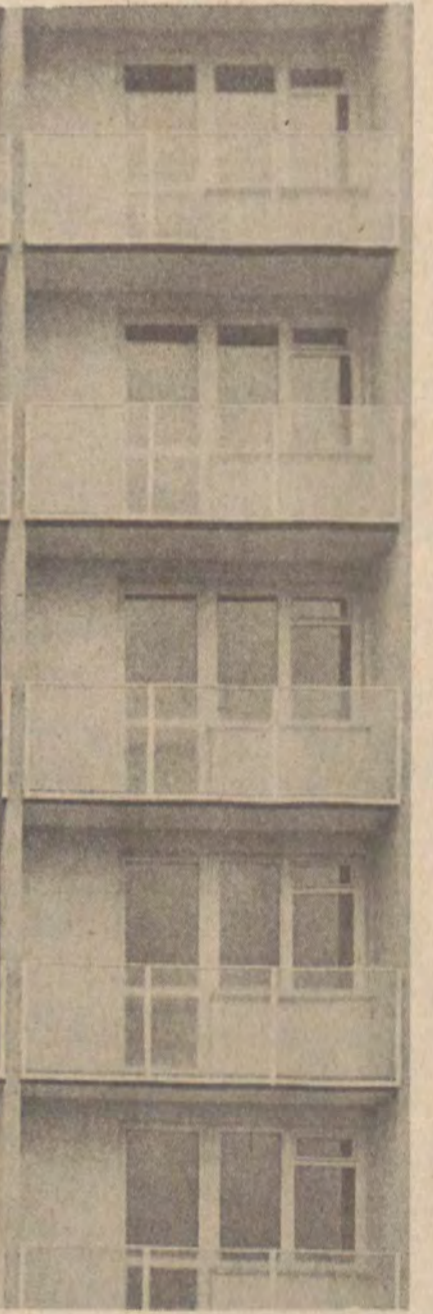
wych. Są to piece do wypalania płytek. Piec jest jeden — komór 20. Przez 24 godziny utrzymuje się temperaturę 1.320 stopni. Do każdej komory wchodzi 460 m kw. płytek. Muszę bardzo uważać na temperaturę, obserwować czujniki. Oczywiście, może się zdarzyć, że czujnik „wysiądzie”, wtedy palacz musi wzrokowo stwierdzić czy w piecu jest wymagana temperatura. Potrafi określić temperaturę pieca do ± 20 stopni. Przecież odpowiadam za produkcję. Potem piec stygnie. W Zakładzie III płytki z pieca wywozi się mechanicznie, a nas trzeba wejść do pieca. Kiedy się wyjmują płytki, wewnątrz panuje temperatura do 50 stopni. Ale ludzie przyzwyczaili się, wytrzymują.

W Zakładach Płytek Ceramicznych w Opocznie pracują całe rody. W poszukiwaniu ludzi dobrej roboty, przedowników tej ciężkiej pracy, spotkałem starszego naklejącego płytek — Krystynę Kosierkiewicz, pracującą tu 19 lat.

— Do ceramiki przyprowadziła mnie matka. Nie było lekko. Teraz, po tylu latach pracy, przyzwyczailam się, nie odczuwam tego codziennego wysiłku. Przez moje ręce dziennie przechodzi ponad szesnaście tysięcy płytek. Tu także pracuje mój syn Andrzej. Jest elektrykiem. Tak więc to już trzecie pokolenie, które związało się z ceramiką...

Rozmawiałem z wieloma innymi ludźmi, pracującymi tu na odpowiedzialnych stanowiskach, ot, choćby starszy palacz gazo-generatorów — Janusz Wijata. Do czadnic sypie węgiel doprowadzając do nich małą ilość powietrza zmieszana z parą wodną. Węgiel spalając się daje potrzebny gaz. Ale wystarczy jedno niedopatrzenie, chwila nieuwagi, by czadnice albo piece wyleciały w powietrze. Od jego uwagi, rzetelności, kwalifikacji, zależy życie wielu ludzi. Janusz Wijata ma tylko jedno zastrzeżenie: — Dawniej — mówi — znało się członków dyrekcji, były masówki, wspólne zebrania. Teraz znajomość kończy się na głównym technologi. Trochę to dziwne — powiada — żeby człowiek na oczy nie widział żadnego z dyrektorów...

Podobne zastrzeżenia miał topiarz fryty Józef Wolkiewicz, pracujący tu 22 lata. Niewątpliwie taka jest prawda. Ale przez ostatnich parę lat zmieniła się nie tylko sama praca w zakładach,



Fot. Archiwum



## U PRZYJACIÓŁ Z S R R

Od kilku miesięcy trwają w Związku Radzieckim liczne imprezy organizowane w ramach I Wszechzwiązkowego Festiwalu Amatorskiej Twórczości Artystycznej. Ta gigantyczna masowa impreza kulturalna — odbywa się we wszystkich ośrodkach miejskich, przemysłowych i gospodarki rolnej — poświęcona jest zbliżającej się 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. W dniach obchodów rocznicowych odbędzie się też zakończenie festiwalu i wyłonienie jego zwycięzców.

Festiwal ATA pod względem zasięgu, rozmachu i liczby uczestników nie ma odpowiednika w świecie. Oblicza się, że obecnie w artystycznym ruchu amatorskim w ZSRR bierze udział ok. 14 milionów osób dorosłych i 10 milionów dzieci i młodzieży. Co roku artyści-amatorzy dają 3 miliony koncertów i przedstawień dla 600-milionowej widowni. Najlepsze z tych zespołów reprezentują sztukę radziecką za granicą.

Jak stwierdza „Sowietskaja Kultura” w artykule redakcyjnym wzrastająca rola ruchu amatorskiego w komunistycznym wychowaniu i w kształceniu kulturalno-estetycznym ludzi pracy, wymaga zwrócenia szczególnej uwagi na stale podnoszenie poziomu ideowo-artystycznego repertuaru scen amatorskich. Jak ważny to problem wskazują liczne listy nadchodzące do redakcji od czytelników, a także wyniki dwóch pierwszych etapów festiwalu. Istnieje wciąż ogromne zapotrzebowanie na utwory ukazujące w artystycznym kształcie osiągnięcia narodu radzieckiego w zakresie gospodarki, nauki i kultury. Mimo że takich utworów powstaje bardzo dużo, to jednak zapotrzebowanie jest znacznie większe. Publikacja materiałów repertuarowych dla domów kultury, świetlic, klubów zajmuje się ponad 30 wydawnictw, które corocznie dostarczają ponad 300 tytułów (w różnych językach narodów ZSRR) o łącznym nakładzie ponad 10 milionów egzemplarzy. W ostatnich latach repertuar scen amatorskich „wzbogacił się o nowe wybitne pozycje ze współczesnej literatury radzieckiej, rodzimej i obcej klasyki, a także cenne przekłady dzieł autorów z krajów socjalistycznych.

Przykład tysięcy zespołów amatorskich o niezwykle wysokim poziomie, niezadko w niczym nie ustępujących zespołom zawodowym, dawno już rozwiał mit, że robotnicza działalność artystyczna to jedynie zabawa i wypoczynek po pracy. Obecnie w przykładowych domach kultury rodzą się nowe wartości, wzbogacające w znacznej mierze ogólnonarodowy skarbiec kultury i sztuki. Stąd wpływa wniosek, że dobór repertuaru, a przede wszystkim wszechstronnie rozumiana pomoc dla ruchu amatorskiego, powinny być troską wszystkich instytucji kulturalnych, związków twórczych, pedagogów-specjalistów. Dobiegający końca I Wszechzwiązkowy Festiwal Amatorskiej Twórczości Artystycznej ukazał zarówno, jak wiele zrobiono już w Związku Radzieckim dla rozwoju masowego ruchu amatorskiego, jak i ujawnił nowe, istotne potrzeby w tym zakresie.



Ogromnie popularny w ZSRR i znany za granicami kraju pisarz ALEKSANDER SZTEJN obchodził swe 70-lecie. Z tej okazji wiele pism radzieckich przypomina jego twórczość i biografie uczestnika Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, naczelnego świadka hitlerowskiej blokady Leningradu. 70-letni Jubilat jest autorem wielu scenariuszy filmowych, a przede wszystkim dramatów, napisał także kilka książek o roli i zadaniach pisarza w społeczeństwie socjalistycznym. Z okazji jego święta sekretariat Związku Pisarzy ZSRR skierował na jego ręce serdeczny list. W „Literaturnoj Gazecie” W. Pimienow tak pisze m. in. o jego twórczości:

„70-lecie A. Sztejna to nie tylko data w jego biografii, ale znaczący etap w dziejach radzieckiej dramaturgii. Nasz Jubilat ma za sobą kawał życia pełnego twórczych osiągnięć. Wszyscy pamiętamy jego „Admirała Uszakowa”, „Sprawę osobistą”, „Hotel Astoria”, „Ocean”, które w gruncie rzeczy składają się na jedną dramaturgiczną epopeję, ukazującą patriotyzm i bohaterstwo ludzi radzieckich... Dziś Sztejn wykazuje swą szczególną duchową młodość, zapatrzoną w przyszłość, jest wciąż pełen nowych twórczych pomysłów. Obecnie zakończył pracę nad nową sztuką „Wersja”, która jest trzecią częścią trylogii o losach inteligencji w okresie rewolucji, a traktującej konkretnie o poecie Aleksandrze Błoku. „Aleksander Sztejn wchodzi w okres „trzeciej młodości”, gdyż swój wiek każdy artysta sam określa”.

W Rodezji i Namibii afrykańscy partyzanci rozwijają działania bojowe, w Republice Południowej Afryki blisko 19 milionów Afrykanów demonstruje wolę walki o prawo do niepodległości. Fala tej walki ogarnęła już całe południe kontynentu, włączając się do niej szerokie warstwy afrykańskiej społeczności i staje się oczywiste, iż najbardziej nawet okrutne represje nie powstrzymają od niej afrykańskich narodów Rodezji, Namibii i RPA.

W tej sytuacji rasistowskie reżimy Smitha i Vorstera uciekają się do przeróżnych manewrów, próbując nadać swym rządów pozory demokracji. Państwa zachodnie, a przede wszystkim Stany Zjednoczone, zainteresowane politycznie, ekonomicznie i także militarnie tym obszarem Afryki, przez długie lata popierały i zbrojnie usadowiły tam reżimy rasistowskie. Dziś, zaniepokojone szerokim ruchem narodowowyzwoleńczym, próbują narzucić własne, neokolonialne rozwiązania problemów Rodezji, Namibii i Republiki Południowej Afryki. Przed polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych stanął dziś, na dodatek w roku wyborów prezydenckich, niezwykle delikatny dylemat. Jak pogodzić prawowite żądania Afrykanów o ustanowienie rządów większości z ekonomicznymi i strategicznymi interesami USA i całego Zachodu w tym rejonie Afryki. To właśnie, ale oczywiście nie tylko, dało impuls dyplomatycznym podróżom sekretarza Stanu USA. Nie przyniosły one oczekiwanych wyników, co więcej, spotkały się z ostrą krytyką Afrykanów.

Polityczni obserwatorzy wielu krajów afrykańskich wyrażają pogląd, iż spotkania Kissingera z przywódcą rasistów w RPA, Balthazarem Vorsterem, świadczą, że przygotowuje się nowa ofensywa imperialistów przeciwko narodom Południowej Afryki. „Głównym celem amerykańskiej polityki na południu afrykańskiego kontynentu nie jest zapobieganie krwawym konfliktom, o czym mówił Kissinger, lecz ochrona interesów zachodnich monopolistów” — pisze komentator mozambijski w dzienniku „Noticias”.

Publicysta stołecznego dziennika tahańskiego pisze: „Głównym celem dyplomacji Kissingera w Południowej Afryce — sądząc po jego oświadczeniach — jest zapobieżenie rozprzeźnieniu się w tym rejonie komunizmu, a także położenie kresu krwawym starciom Afrykanów z białą

ludnością. Wszelako oświadczenia o przenikaniu do Afryki komunizmu są tylko amerykańskim manewrem, maskującym prawdziwą sytuację na południu kontynentu, wiadomo bowiem, iż trwające tu teraz starcia są walką afrykańskiej większości o wolność. Kiedy Afryka mówi o wolności, ma na uwadze prawdziwą niezawisłość narodów Zimbabwe (Rodezji) i Namibii oraz zniesienie systemu rasowego ucisku w RPA. O to właśnie toczą walkę siły wyzwolenia narodowego Południowej Afryki”.

A tak publicysta senegalskiego dziennika „Le Soleil” podsumował wizytę amerykańskiego sekretarza Stanu w RPA: „W związku z wizytą Kissingera w Pretorii, wolna Afryka

we w Afryce. Teraz wszystko to obraca się przeciwko nam”. Po wydarzeniach w Angoli polityka amerykańska nie cieszy się popularnością w Afryce, USA wnieśli się tam do wojny domowej, żeby zadać cios ugrupowaniu marksistowskim. Wywołało to oburzenie wśród lewicowo nastrojonych Afrykanów, a amerykańskie niepowodzenia wzbudziły niepokój zarówno w umiarkowanych kołach afrykańskich, jak i wśród białych rasistów.

Tymczasem fala afrykańskich ruchów wyzwoleniczych podnosi się coraz wyżej. Najpierw była Angola, następnie Rodezja, po niej Namibia i wreszcie Republika Południowej Afryki. Afrykanie przewidywali taki

ci. Przez długie lata rząd Iana Smitha odrzuca propozycje — choćby tylko stopniowego przekazywania władzy prawowitym władcom tej ziemi. Po ostatnim fiasku rozmów na ten temat, działania partyzantów nabierają szerszego rozmachu. Niektórzy obserwatorzy wyrażają opinię, jak informuje na przykład korespondent „The Wall Street Journal”, że obecnie około 15 tysięcy Afrykanów Zimbabwe jest doskonale przygotowanych do walk partyzanckich w Rodezji. Z drugiej strony — relacjonuje swoje wrażenie z podróży po Południowej Afryce starszy redaktor „Newsweeka”, Borchgrawe — „siły zbrojne Iana Smitha są u kresu wytrzymałości, reżimowi nie starcza już sił do nieustannego odpierniania ataków partyzantów”.

W przeszłości podstawowym uzbrojeniem partyzantów afrykańskich były karabiny, granaty i miny, teraz są dobrze uzbrojeni, mają broń bardzo zróżnicowaną. Wszystko wskazuje na to, że ofensywa partyzantów rozpocznie się w listopadzie, w sezonie deszczowym. Wywiad rodezjski utrzymuje, iż plan ofensywy partyzantów Zimbabwe bazuje na eskalacji uderzeń zbrojnych w różnych kierunkach. A kiedy rozpocznie się sezon deszczowy, partyzanci przetrzącają do Rodezji nowo sformowane i dobrze przeszkolone oddziały. Od listopada do kwietnia wiele rodezjskich dróg przemienia się w bagniste trzęsawiska, których nie sforsuje żaden wojskowy pojazd, w tym także auta pancerne produkowane w Rodezji. Partyzanci często zestrzelują samoloty i śmigłowce, a ich rozproszonych oddziałów nie sposób wykryć w gęstych lasach i wysokich trawach.

Czy wydarzenia w Soweto będą początkiem nowej — a być może końcowej — fazy w rozwoju afrykańskiego ruchu narodowowyzwoleńczego w Republice Południowej Afryki? Zachodni obserwatorzy obecnych wydarzeń w Południowej Afryce wstrzymują się jeszcze z odpowiedzią na to pytanie. Niemniej reżim jest znów wystawiony na ciosy Afrykanów, i to przede wszystkim absorbując uwagę rządu białej mniejszości. Oto dlaczego Vorster, który mógł przecież bez trudu odłożyć spotkanie z sekretarzem Stanu USA pod pretekstem trudnej sytuacji w kraju, poszedł na duże ryzyko i opuścił RPA na kilka dni. Premier RPA przywiązuje do tych spotkań wyjątkowe znaczenie. Rzecz w tym, że reżim południowoafrykański trzyma się kurezowo obsesyjnej idei, iż RPA powinna stać się pełnoprawnym członkiem świata zachodniego. I właśnie rozmowy z Kissingerem stwarzały widoki na utrwalenie tej idei zarówno w RPA jak i poza nią. Istniały jednak i inne jeszcze konkretne powody skłaniające Vorstera do rozmów z amerykańskim sekretarzem Stanu: premier RPA miał nadzieję, iż rozmowy te pomogą mu w pewnym stopniu odbudować, w różnych planach politycznych, zaufanie do karłowatej polityki południowoafrykańskiego reżimu.

Nie ulega wątpliwości, iż obu rasistowskim liderom — Vorsterowi i Smithowi — uświata się grunt pod nogami i że zdają sobie oni sprawę, że groźną im wojna z Afrykanami zmieni do gruntu sytuację w całej Południowej Afryce.

JERZY CZECH

## POŁUDNIOWA AFRYKA

# „MINIMUM SZEŚĆ MIESIĘCY...”

tracił wiarę w deklaracje USA o pragnieniu podjęcia skutecznych kroków wobec rasistowskich reżimów na południu kontynentu afrykańskiego. Właśnie po spotkaniu z Kissingerem w Zurichu Vorster ożywił się wyraźnie i powiedział o zamiarze zachowania apartheidu, a drugi rasistowski lider, Ian Smith, odczuwając silne poparcie mocarstw zachodnich, zaproponował Afrykanom utworzenie jakiegoś „antykommunistycznego frontu”, a nie upajanie się iluzjami o rządach w Rodezji-afrykańskiej większości”.

Afrykanie nie zapomnieli, że USA przez długie lata popierały kolonialne i rasistowskie reżimy na południu Afryki i widzą, że dziś, kiedy narodowowyzwoleńcze ruchy ogarnęły ostatnie twierdze rasizmu, Waszyngton próbuje pozostawić Południową Afrykę w rękach białej mniejszości. Wielu amerykańskich specjalistów problemów Afryki przypomina, że swego czasu Stany Zjednoczone zupełnie świadomie popierały dyktatorskie rządy Portugalii — Salazara i Caetano — i ignorowały rasowe problemy na jej afrykańskich terytoriach, w tym również w Angoli. Robiono to w imię „powstrzymania komunizmu”, a mimo to na niektórych afrykańskich terytoriach rządził dziś komunizm. Pewien ustosunkowany i wpływowy amerykański działacz powiedział niedawno: „Stany Zjednoczone przez wiele lat ignorowały problemy raso-

własnie program działania, dążąc do ostatecznego położenia kresu panowaniu białej mniejszości. Program ten jest konsekwentnie realizowany. Obserwatorzy polityczni uważają, że ruch wolnościowy w Rodezji będzie miał gwałtowniejszy przebieg niż w RPA. Wszystko wskazuje na to, iż bojownicy o wolność przygotowują się do walki z rządami białych w Namibii. Te ogólne tendencje utwierdzają Afrykanów w przekonaniu, iż pewnego dnia uda im się wreszcie skoczyć z reżimem apartheidu w RPA.”

W Rodezji walka między reżimem białej mniejszości a frykańskimi partyzantami nasila się z każdym dniem i powszechnie wiadomo, iż reżim nie potrafi już długo. Pewien południowoafrykański generał, spytany jak długo, jego zdaniem, utrzyma się rząd w Rodezji, odparł bez namysłu: „Minimum dwa lata, minimum sześć miesięcy”. Są to więc ostatnie drgawki kolonializmu w Zimbabwe (tak Afrykanie nazywają Rodezję — red.). Niemniej rządy rasistowskie są zdecydowanie bronić swoich przywilejów.

Formalnie Rodezja jest brytyjską kolonią, która, lapidarnie rzecz ujmując, jednostronnie ogłosiła niepodległość w 1965 roku. Zamieszkuje ją około 280 tysięcy białych i 6 milionów Afrykanów. Mimo tej rażącej dysproporcji cała władza polityczna i niezmierznie bogactwa tego kraju znajdują się w rękach białej mniejszo-

## WYBORY DO BUNDESTAGU

### PREZYDENT FRANCJI WALERY GISCARD D'ESTAING W IRANIE

Znane są już wyniki wyborów do Bundestagu. Na ogólną liczbę 41.958.768 uprawnionych do głosowania oddano 38.175.869 głosów, w tym 37.697.630 głosów ważnych. Cztery główne partie biorące udział w wyborach uzyskały: SPD: 42,6% głosów, CDU: 38,0% głosów, CSU: 10,6% głosów, FDP: 7,9% głosów.

Z przytoczonych wyżej cyfr wyraźnie wynika jakim pozornym zwycięstwem było zwycięstwo koalicji SPD/FDP. Wyniki wyborów nie usatysfakcjonowały nikogo, szczególnie polityków SPD. Wprawdzie jest to dla niej drugi najlepszy wynik we wszystkich dotychczasowych wyborach do Bundestagu, ale w porównaniu z wyborami z 1972 r. liczba głosujących na tę partię zmniejszyła się o około 3,2%.

Kancelerz RFN, HELMUT SCHMIDT oceniając wyniki wyborów oświadczył, że SPD uzyskała drugi najlepszy rezultat w historii swej partii ze wszystkich wyborów do Bundestagu. Przyznał on jednak, że koalicja wi-

działały chętnie „parę mandatów więcej”. Potwierdził także rozszerzenie partii koalicji SPD/FDP do tworzenia nowego rządu. Oświadczył, że w najbliższych dniach zakomunikuje prezydentowi Walterowi Scheelowi w imieniu partnera koalicyjnego, że rozporządza ona większością w parlamencie dla sformowania rządu. Schmidt określił jako absurdalne zastrzeżenia polityków partii Unii Kohla i Straussa, którzy twierdzą, że CDU/CSU jako najsilniejsza partia rości sobie prawo do utworzenia rządu. Na zakończenie wystąpienia Kancelerz stwierdził, że nie powiodła się próba opozycji poróżnienia SPD/FDP. Obie partie postanowiły kontynuować współdziałanie w tym celu, aby rozbudowały swoje sukcesy zewnętrzne i wewnętrzne.

Wyniki wyborów do Bundestagu odbiły się szerokim echem w świecie.

Kancelerz Helmut Schmidt poinformował w pierwszym oświadczeniu złożonym po zamknięciu głosowania

o gratulacjach złożonych mu telefonicznie przez prezydenta Geralda Forda. W Moskwie wynik wyborów został przyjęty z zadowoleniem, chociaż liczone się z bardziej wyraźnym zwycięstwem koalicji. Związek Radziecki oczekuje, że nowy rząd koalicyjny nie tylko będzie kontynuował ale i rozwijał stosunki radziecko-zachodniemieckie.

Bardzo żywo wyborami do Bundestagu interesowało się społeczeństwo Francji. Wszystkie trzy programy telewizyjne przeprowadziły jeszcze w niedzielę wieczór dyskusje na temat politycznych następstw minimalnego zwycięstwa koalicji SPD/FDP nad koalicją CDU/CSU.



W poniedziałek 4 bm. rozpoczął swoją czterodniową oficjalną wizytę w Iranie prezydent Francji Walery Giscard d'Estaing. Jak się podkreśla w Paryżu wizyta ta ma charakter typowo roboczy i jej głównym celem jest doprowadzenie do podpisania poważnych kontraktów na dostawę przez Francję do Iranu broni, samolotów typu Concorde i dwu ele-

ktrowni atomowych w zamian za Irańską ropę naftową.

W opinii polityków francuskich Iran stanie się wkrótce w miejsce Arabii Saudyjskiej głównym dostawcą ropy naftowej dla Francji. W ubiegłym roku Iran sprzedał 15 mln ton ropy Francji.

Zdaniem kół rządowych, wizyta prezydenta Giscarda d'Estainga pozwoli sfinalizować projekty różnych kontraktów francusko-irańskich o łącznej wartości 2 mld dolarów. Ponadto wizyta oficjalna szefa państwa francuskiego może przynieść owoce w postaci zwiększenia obecności Francji w przemyśle Irańskim. Dotychczas głównymi dostawcami wyposażenia przemysłowego i nowoczesnej technologii dla Iranu były Stany Zjednoczone, RFN, Japonia, Wielka Brytania. Francja i Iran współpracują już ściśle w dziedzinie energii nuklearnej.

Premier Iranu Amir Abbas Hoveyda w wywiadzie dla regionalnego dziennika les Dernieres Nouvelles D'Alsace powiedział między innymi, że Teheran skłonny jest nawiązać ściślejsze kontakty z Francją w dziedzinie przemysłowej, dodał, że jego kraj pragnie podnieść swą technikę nuklearną na wyższy poziom.



# TRZY TEATRY

Rozpoczął się trzytygodniowy serial kryminalny Francisca Durbridge'a którego telewizja widać lubi, bo mieliśmy już okazję oglądać sensacyjne sztuki tego renomowanego, angielskiego autora. W Teatrze Sensacji realizowano w latach 1970—1975 takie jego serie jak „Szał”, „W biały dzień”, „Harry Brent”, „Melissa” czy „Desperaci”. Widowiska te cieszyły się dużym powodzeniem, do czego przyczyniła się wartka akcja, skomplikowana, choć zawsze logicznie skonstruowana zagadka kryminalna, barwne zarysowane postacie, kreowane zresztą przez wybitnych aktorów. Zalety te ma również najnowsza sztuka Durbridge'a.

„Brutalna gra” podzielona została na trzy tygodnie — niestety. Wiemy, że tym sposobem trzy czwarte zostały wypełnione, ale dyskusyjna jest chyba sama zasada. Sztuka sensacyjna o kryminalnej intrydze i wartkiej akcji, wciągającej widza, nie powinna być rozciągana na tygodnie. Zdumie jest zapewne przekonanie, że telewizywnie przez siedem dni z wypiękami czekać będą na dalsze losy bohaterów. Rzecz wygląda inaczej. Pozostaje tylko irytacja w czwartkowy wieczór, że zagadka nie została wyjaśniona i... natychmiast zapominamy o bohaterach Durbridge'a. W następnym czwartku z trudem przypominamy sobie, o co tu w ogóle chodziło, kto jest kto... Zwiastuje, że fabuła sztuki Durbridge'a jest mocno skomplikowana.

W ten sposób połowa przyjemności z oglądania interesującej sztuki sensacyjnej „rozmyła” się nam w interwałach. A szkoda, bo jest to literatura i teatr na dobrym poziomie.

Zlokalizowana w Londynie akcja rozwija się ciekawie dzięki działaniom przedsiębiorczego inspektora Scotland Yardu — Jacka Kerry, który wykorzystując swoje zawodowe umiejętności prowadzi prywatne śledztwo mające wyświetlić okoliczności śmierci bliskiej mu osoby. Szukając potwierdzeń swych podejrzeń, Jack Kerry przyznaje się do odkrycia tożsamości szeregu osób i zdemaskowania wielkiej afery szantażowej. Nie obywa się przy tym bez śmiertelnych ofiar oraz komplikacji uczuciowych. Sam inspektor zwraca efekty w najbardziej nieoczekiwanym kierunku.

Tyle o Teatrze Sensacji, w którym na trzy tygodnie mamy już zapewnione spektakle. Z dramaturgii większego kalibru artystycznego mieliśmy ostatnio dwa wydarzenia.

„Zmierzch długiego dnia” Eugene O'Neilla oraz filmową adaptację Mike Nicholsa głosem sztuki Albee'go „Kto się boi Wirginii Woolf”. Sztuka jest główna i rzeczywiście wybitna — autor przeprowadził w niej analizę psychologiczną dwójki małżonków — ludzi, którzy rozpacziwie pragną uciec od pustki wypełniającej ich egzystencję. W adaptacji Nicholsa obie główne role grają Elizabeth Taylor i Richard Burton. Nie wiadomo niestety czy film był kręcony właśnie w okresie kolejnego rozvodu czy kolejnego małżeństwa tej sławnej i znakomitej pary aktorskiej i małżeńskiej.

Również w sztuce O'Neilla nie zabrakło gwiazdy pierwszej wielkości. Rolę matki — narkomanki grała Katherine Hepburn. Co prawda „Zmierzch długiego dnia” należy do sztywnego okresu twórczości pisarza, ale są to i tak szczyty współczesnej dramaturgii. Twórczość O'Neilla, na którą złożyły się sztuki w łącznej liczbie... około stu, ma w historii dramatu amerykańskiego miejsce szczególne. Wyznacza bowiem literacki początek tego, co zwykle się nazywa współczesnym teatrem amerykańskim.

Eugene O'Neill, w kolejnych okresach przypadającej na pierwszą połowę XX wieku działalności twórczej, holdował różnym kierunkom i nurtom, poczynając od realizmu i naturalizmu, poprzez ekspresjonizm i symbolizm, by w końcowym etapie twórczości skłonić się ku egzystencjalnemu widzeniu świata. Dramatopisarstwo O'Neilla uhonorowano Nagrodą Nobla w 1936 roku. Dzięki swej różnorodności i nieustannemu poszerzaniu zasięgu zainteresowań autora zyskało sobie popularność na całym świecie.

Tak więc ostatni okres minął na szklanym ekranie pod znakiem trzech teatrów, bo obok „Brutalnej gry” i sztuki O'Neilla do tego gatunku wypada też zaliczyć film Nicholsa. Przy najmniej dwa z tych spektakli określili można mianem wydarzeń artystycznych. A „dwa do jednego” to wynik nie najgorszy.

TELEMAN

# POWIEŚĆ W ODCINKACH

(9)

Majorowi drżały ręce. Malić chciał mu przerwać, powiedzieć, że pod ładą ma jeszcze drobniaki, które na pewno by mu się podobały, ale Peduto już go nie słuchał. Podchodził do fotografii i odchodził od nich, mrużył to lewo, to prawo oko i jak gdyby rozmawiając z setką ludzi, a nie z samym sobą, ciągnął:

— Biedny mały człowieczek, ten na lewo: chlepcze i syci się... porwał się na to, nieborak, i jeśli w porę nie przestanie, cały się tam schowa. Albo ci dwoje, co udają cyfry sześćdziesiąt dziewięć. Ach, cudowny, dobry i zepsuty mój kraju, któż by za ciebie nie był gotów zginąć! Kocham cię, uwielbiam cię, pluga i stracona moja Italio!

Nikt nie mógł powstrzymać Antonia. W zapamiętaniu uderzył się dłoń w czoło. Potem wyjął grubą notatnik i zaczął coś zapisywać. Malić ponad jego ramieniem patrzył na Pietra, którego oczy stawały się coraz bardziej szkliste. Widział, jak Augusto Napolitano usiłuje rozweselić kaprala, ale do Pietra Portulu nie docierały neapolitańskie świątwa.

Grzmot dział zatrząsł karczmą.

— Czym jeszcze mógłbyś mnie ucieszyć? — spytał major wsuwając palce w gąszcz brody.

Nieco żywiej i głośniej niż zwykle, z wyraźnym zamiarem, aby usłyszeć go także cywile tłoczący się przy bufecie, Malić powiedział:

— Mam prezerwatywy, *signor maggiore*. Coś nadzwyczajnego. Też ngwożę z Rzymu. W perspektywie piszą, że czegoś tak doskonałego jeszcze nie było. Podobno najcieńszy jedwab nie może się z nimi równać. To zupełnie nowe modele.

— Nowe modele, jak to? — życzliwie uśmiechnął się major i sam nalaf sobie z butelki. — Nawet jak na Włochów to za wiele!

— Tak jest napisane — powiedział głośno Malić.

— Skoro już nie ma spokoju, to niech żyje wojna! — wykrzyknął w zapale Antonio. — Niech żyje włoska wojna... wojna, która nigdy nie trwa długo, ale długo się ją pamięta!

— Ile pudełek odożył dla pana majorze? — spytał Malić z powagą.

— Dwa... trzy?

— Dziesięć — powiedział Peduto.

— Zawsze trzeba się w porę zapoatrzyć — zauważył bystro Malić.

— W takim razie piętnaście — zawołał Antonio i pociągnął z kieliszka.

— A co najważniejsze, wcale nie są drogie — dodał Malić.

— W takim razie dwadzieścia! — zawołał major i trzasnął dłoń w ladę.

— Może chciałby pan prócz tego komplet fotografii, *signor maggiore*?

— Daj — powiedział Antonio i poczuł, jak ręką pali go w gardle i mać myśli. — Wezmę wszystko, co mi polecisz.

— Wobec tego zapakuję panu także pudełko lub dwa znakomitego środka abortino — powiedział Malić.

— Też go zdążyłeś sprowadzić, kiedy byłem w podróży! — Peduto wtrzeszczył zaspane niebieskie oczy. — Jeszcze jedna nowość.

— Już sama narwa tego leku stanowi najlepszą zachętę — powiedział z dumą Malić. — Mała rzecz, a wprost nie do uwierzenia. Sam nie wiem, kto jest bardziej zadowolony, nasi ludzie czy wojsko. Oprócz wojska i mieszkańców miasteczka zapoatruję całą okolicę. W takich czasach człowiek musi więcej myśleć o innych niż o sobie.

— Dużo masz tego cudownego środka? — spytał major z roziskrzonymi oczyma.

— Tyle, że bez przesady mógłbym przerwać wszystkie cięża na okupowanych przez was terenach, łącznie z Grecją, Albanią i nawet Abisynią.

— Zawsze uważałem Czarnogórców za ludzi bystrych i utalentowanych — powiedział major, jakby do siebie. — Bardzo jesteście odważni, ale bardzo pracowici, ale za to niezwykle mściwi i żądni sławy. Ze swoją dumą, godnością i honorem zaczynacie mi grać na nerwach. Pod tym względem podobni jesteście do starych Greków. Zgadzasz się ze mną?

— Nie byłem w Grecji i nie wiem, jacy oni są — odparł Malić. — Wiem tylko, jacy wy jesteście.

— O tym pogadamy kiedy indziej, jak wytrzeźwieję — powiedział Antonio.

— Zmieniam zamów — oświadczył Malić i z brzękiem odsunął od siebie gromadę butelek.

— O tym też pogadamy innym razem.

— Może nie będzie już okazji.

— Będzie, jakżeby nie — powiedział Antonio ścisnąc grubą notatnik pod pachą. — Nie myśl sobie, że my dwa tak łatwo się rozstaniemy.

— Nie rozumiem — powiedział Malić podając mu pakietek.

— Tym lepiej — rzekł Antonio. — Zresztą nikt nikogo nie rozumie.

Majorowi drżały ręce, jak gdyby broniąc się przed gitarą, która smuciła się tuż nad jego uchem, i przed nieprzyzwoitą piosenką żołnierza, nie znającego miary ani końca.

Malić, który z kuglarską zręcznością rozdawał butelki i kieliszki, major Peduto chwycił się na nogach, a nawet kapitan Brambilla wychylający kieliszek za kieliszkiem i wszyscy pozostali, którzy znaleźli się wokół bufetu, widzieli, jak Pietro wstał, wtrzeszczył chłopięce oczy i padając z powrotem w ramiona cywili, wyszeptal:

— Marika mia... gdzie jesteś...

☆ ☆ ☆

— Marika mia — drżącym głosem szeptał pułkownik Allegretti ścisnąc jej pierś z taką siłą, z jaką niedawno rozciągał sprężynę. — Marika, mój serce, mój dusza — dodawał obsypując szyję dziewczyny pocałunkami.

Wsuwał głowę pomiędzy jej piękne, okrągłe kolana, wykrczał ręce, którymi próbowała zasonić swą nagłość u dołu i ostre kionszki piersi.

w południe widzę, jak lataśz nad dachami i patrolujesz, aż mi serce rozszadza jakaś dziwna radość. Spartaco, zrób to dla mnie.

Zaskoczony pułkownik milczał. Głowa opadała mu coraz niżej, a Marika nie protestowała. W pewnej chwili wydało jej się, że nie będzie z obietnicy, i zatrzymała czarną głowę, która omal nie znalazła się między jej udami.

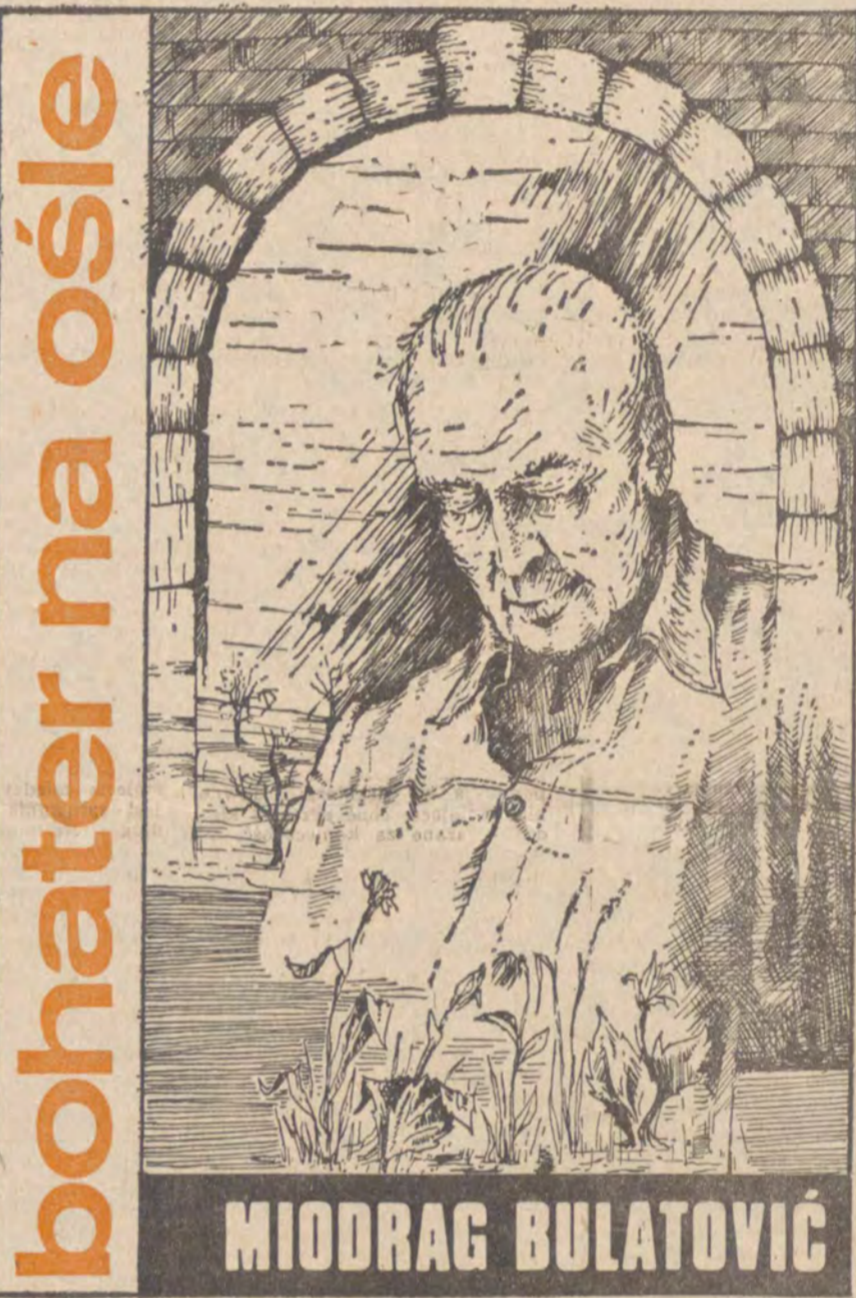
— Najpierw obiecuj — powiedziała spokojnie. — A potem...

— Obiecuję — rzekł ponuro pułkownik.

— Powiedz tak: daję włoskie i oficerskie słowo honoru, że *carissima signorina Marika* poleci ze mną na spacer samolotem.

Pułkownik powtórzył słowo w słowo. Wargi miał suche z pragnienia.

— Si, trochę mnie przewieziesz — rozśpiewała się dziewczyna. — Chcę, żeby mnie zobaczyły z tobą, z samym komendantem. Niech ludziska wściekną się z zawiści: cała Czarnogóra będzie mi zazdrościła, a ja mam w nosie Czarnogórę i Czarnogórców.



Rys. J. Szymański — Glianc

Chciał ją rozkrzyżować i poskromić. Ale nagie, gibkie ciało zwręcznie stawiało opór, tak że spocony wódz raz po raz padał obok niej.

— Dlaczego tak, Marika? — ledwie zdolał wykrztusić.

— Później — niecierpliwie uciąła dziewczyna. — *Dopo*, Spartaco. Mamny czas.

Trzęsącymi się rękami dotykał jej piersi, gładził pięknie wyrzeźbione, gładkie ciało. Z niezwykłą siłą przyciągał ją ku sobie, podnosił i przerażał z końca na koniec łóżka. Dziewczyna chichocząc wysłizgiwała mu się z rąk jak ryba. A gdy ją chwytal i na chwilę uspokajał, wbijał zęby w zaochręgnięte biodra. Nic jakoś nie robiło wrażenia na kudłatym, rozciągliwym diable o długiej szyi, choć Marika pozwalała sobie gryźć ramiona, lizac i ślinić piersi, całować brzuch i pachy. Palce trzymała we włosach pułkownika, niby to piesząc jego pianą, lubieżną głowę, której jednocześnie broniła przesunąć się poniżej pępka.

Słyszała, że coś szepce, widziała, jak drży. Głos miał przesiąknięty potem, gąbczasty:

— Nie męcz mnie.

— *Dopo*, *ragazzino* — powiedziała.

— Później, chłopczyku.

— Po co to odwiekanie, Marika — powiedział pułkownik i przycisnął wargi do jej pępka.

— Chcę, żebyś mi najpierw coś obiecał — powiedziała Marika wbijając mu paznokcie w skórę za uszami. — Zgoda, *ragazzino*, zgoda?

— Zgoda, najdroższa — pułkownik zadrzał. Jakże mógłbym ci odmówić.

— A spełnisz obietnice, *galletto*?<sup>1)</sup>

— Spełnię, kochanie.

— Więc obiecuj, że weźmiesz mnie z sobą do swojego ślicznego samolotku, zaszcebiotała Marika. — Co dzień

— Ale, Marika mia... zaczął drżącym głosem pułkownik, uniósłszy na moment głowę z jej pachwiny, tuż obok źródła.

— Co, nie chcesz? — delikatnie obruszyła się dziewczyna. — *Bene*<sup>2)</sup>, w takim razie nie...

— Ale, Marika, sam nie wiem, kiedy wsiądę do tego przeklętego samolotu.

— Jak to nie wiesz? Jesteś komendantem i powinienś wiedzieć wszystko.

— Oszczędzam go aż do głównego uderzenia — rzekł pułkownik kładąc głowę na dawne miejsce. — Do decydującej rozprawy z komunistami. Do walki, która czeka nas wkrótce. Zamierzamy ich wytepić bez litości.

— To wstawaj i ubieraj się. *Subito*.<sup>3)</sup>

Pułkownik ścisnął ją w tali. Poczuł przypływ siły. Poczuł, że bliski jest, jak nigdy, cudownego celu, i powiedział głosem tonącego:

— W porządku, *carina*<sup>4)</sup>, zgoda na wszystko. Polecimy.

— Obiecuj, że jeszcze dzisiaj wezwiesz do raportu kapitana Brambilla i opowiesz mu, że byłem u ciebie i tak dalej — rzekła Marika trzymając go jakby na uwiezi. — Co, nie rozumiesz? Jak to? Chcę, żebyś go wezwał i wszystko dokładnie opowiedział. Tak, *galletto*. Brambilla, właśnie jemu...

☆ ☆ ☆

Jeżeli natychmiast nie przestaniesz, to upiesz się w trupa — powiedział sobie kapitan Vittorio Brambilla. — Prawde mówiąc, już jesteś zalany, a mimo to nie możesz zapomnieć, że ten kosmaty orangutan, ten plugaawy terrone, lamie i depcze twój Marika. Nie, tego nigdy nie zapomnisz i nie

darujesz. Uwaga, wypij jeszcze jeden albo najwyżej dwa kieliszki i zapamiętaj sobie, że kiedyś musisz się na nim zemścić.

Rozżalony do lez kapitan w wyobraźni nożem przebił swego komendanta. Zrzucił go w przepaść, na pożarcie lisom i krukowi, i spostrzegł, że ręce ma po łokcie we krwi. Przelał się tego obrazu i szybko wstał. Zatrzymał się. Odepchnął Augusta Napolitano, który właśnie zaczął rozciągać *Lontano da te* i podszedł do bufetu, za którym major Peduto i Malić rozprawiali coraz bardziej zgryźliwie. Spostrzegł goliznę na ścianie, przez całe dwie minuty zatrzymał wzrok na kobiecie o wąskiej tali, dużych piersiach i obłych pośladkach, a potem, w tej pstrokaciznie, wśród mnóstwa rozkraczonych ludzi dojrzał Marikę, Ogarnęca go wstydlawa żalność i strach, że przy wszystkich się rozplacze. Spragniony obecności ludzkiej i jakiegokolwiek rozmowy, przysunął się do majora Peduto i Malicia.

Major i karcmarz zauważyli go dopiero, gdy odkaszlnął.

— Jeszcze kieliszek — rzekł etcho Brambilla.

— Nawet dwa — powiedział szybko Malić i obsłużył go.

— W takim razie nie dwa, ale trzy — rzekł Brambilla podając mu pieniądza.

— Brawo, kapitanie — powiedział Peduto.

Kapitan skłonił się z lizusowskim uśmiechem. Podniósł kieliszek, chcąc przepić do majora. Antonio jednak udał, że nie widzi, i wrócił do tego, o czym poprzednio mówił z Malciem:

— W porządku, drogi Grubanie. Czesciowo masz rację. Ale spróbuj i mnie zrozumieć.

— Z tym będzie trudniej — powiedział Malić. — Niech pan mi nie bierze za złe szczerości.

— Szczerość i uczciwość zawsze cenilem. Zwłaszcza u wroga. Ale w tym wypadku nie zgadzam się z tobą. Naprawdę.

— Za wiele pan ode mnie żąda, *signor maggiore* — Malić spojrzal prosto w jego mieniące się oczy.

— Bądź pewny, że każdy inny Czarnogorczek przyjąby z zadowoleniem taką propozycję.

— Ale pan ciągle zapomina, że ja jestem patriotą — powiedział dobitnie Malić — i że pieniądza nie mają dla mnie znaczenia. Tak, jestem patriotą, prawdziwym patriotą, *signor maggiore*. Pan się dziwi?

— Czy mógłbym wiedzieć, o czym mowa, panie majorze? — spytał Brambilla.

— O miłości — powiedział Antonio, Vittorio Brambilla, wyraźnie posmutniał.

— A co będzie, jeżeli ci rozkażę między tymi naprawdę doskonałymi zdjęciami zawiesić kilka innych? — major wygiął zakurzoną brew. — Kilka portretów i scen?

Malić pobladł, zrobił wielkie oczy; odsunął butelkę i kieliszki. Patrzył na majora, któremu płał się język.

— Co wtedy będzie? — powtórzył Peduto i drżącą ręką sięgnął po kieliszek.

— Nie wiem — powiedział twardo Malić. — Zobaczymy.

— W takim razie niby po przyjaćielsku ci rozkażę, żebyś na tej ścianie umieścił portrety królewskiej rodziny i samego Duce, a także zdjęcia z kilku pomyslnie zakończonych bitew — powiedział Antonio, przekonywany, że zaskoczył karcmarza.

Centralne miejsce należy się oczywiście Mussolinimu, naszemu niezwykłemu i nieomylnemu Duce.

— Doprawdy świetny pomysł! — wtrącił ponury kapitan Brambilla.

Antonio lubił polecholewo. Długim, fałszywym uśmiechem zaszczępiał kapitan, a potem znów nachylił się do karcmarza.

— Chcę na wszystkich ścianach twojej knajpy widzieć nasze zdjęcia. Naszą sławę... sławę, której tak wielu kalkiem słusznie nam zazdrości, sławę, z której powodu czasem ściska mi się serce. A najlepsze miejsca musimy znaleźć dla szefów; oni bowiem, dzięki swej mądrości, jakiej dotychczas nie znała historia, prowadzą nas do zwycięstw i szczęśliwego życia. Musimy przemieszać i to umiejętnie, zdjęcia, które już masz, z tymi, które my mamy. Chcę, żeby nasza sława i pornografia tworzyły całość, tu, na tym miejscu.

Malić pomyślał, że Antonio nigdy nie był bardziej podniecony: ładne, niebieskie i łagodne oczy miał pełne łez; karcmarz nie wiedział, czy to od raki, czy od czegoś innego. Patrzył i dziwił się, dlaczego major tak drży.

— Przykro ci, że musisz zgodzić się ze mną?

— Jest w tym pewna niestosowność — powiedział Malić.

— A co najważniejsze — dodał Peduto — nie będzie to obrażało twoich, jak mówisz, patriotycznych uczuć. Wręcz przeciwnie.

(cdn)

Przełożyła:  
**DANUTA  
CIRLIĆ-STRASZYŃSKA**

<sup>1)</sup> Koguciku.  
<sup>2)</sup> Dobrze.  
<sup>3)</sup> Natychmiast.  
<sup>4)</sup> Miła.



## ZDARZENIA I ZWIERZENIA

# PRZECENA

Pragnienie osobistego sukcesu jest w nas równie silne jak potrzeba porażek, lub choćby tylko niepowodzeń i potknięć bliźnich.

Opowiada znajomy pisarz, który wydał niezłą książkę. „W ostatnich dniach miałem cztery recenzje, bardzo dla mnie pochlebne. Z tym, że jedna z nich napisana została w sposób żartobliwy. I co się dzieje? Przychodzi jeden znajomy i mówi: „Wiesz, ta żartobliwa recenzja z twojej książki była bardzo nie na miejscu, tak się nie robi, to sprawa wrażeń, że autor chciał się wykręcić od rzetelnej oceny...”

Więc pytam z głupia frant mojego znajomego, o którym przebieg wiesz, że czyta pisma i zapewne zna i pozostałe trzy publikacje. „Czy może czytałeś jakieś inne recenzje z mojej książki?” A na to on: „A były inne? Nie, jakos nie zauważyłem”.

Albo wśród aktorów. Jeśli ktoś dostaje dużą, ważną rolę,

może być absolutnie pewien, że zanim jeszcze dojdzie do pierwszej próby, usłyszy nieraz od kolegów szczerze słowa: „Stary, gratuluję roli i życzę powodzenia. Ale — wybac — w sukces nie wierzę”.

Wróćmy jednak do pisarzy. W tym środowisku szczególnym przedmiotem żartów i złośliwości są książki i recenzje. To jest dopiero frajda zobaczyć kolegę na liście autorów recenzjonych. A takie listy proskrypcyjnym sporządza... Centralna Składnica Księgarska „Domu Książki” i rozsyła je do księgarń.

Tak, tak — ta sama Składnica, która w poważnym stopniu (choć oczywiście nie zawsze) ponosi winę za fatalną dystrybucję poszczególnych tytułów... Ta Składnica, która rozdzielając książki centralnie nie liczy się z takim na przykład drobnym faktem, że pisarze łódzcy bardziej są znani w Łodzi niż w Mszanie Dolnej. W ten

prosty sposób wg rozdzielnika nakład jest „w hurcie wyczerpany”, ale jeszcze po roku i dwu można książki spotkać tam, gdzie ich nikt nie szuka: w kioskach „Ruchu”, na Podhalu, w sklepach użytku kulturalnego w Mszanie Dolnej i Peimiu oraz w innych tego rodzaju „centrach kulturalnych”. Brak natomiast tych samych książek w miastach, tradycyjnych ośrodkach akademickich, wydawniczych, artystycznych.

Mimo to jednak książki przecenione są obiektem złośliwości kolegów po piórze. Niedawno zdarzył się wypadek dobitnie ów fakt ilustrujący.

Otóż koleżdy pewnego pisarza znaleźli jego przecenioną książkę w księgarni. Oczywiście kupili i położyli autorowi na biurku pod jego nieobecność. Książka leżała więc sobie tytułem do spodu — świecąc wielkim stemplem „Cena zniżona”.

Pisarz wszedł do pokoju, podszedł do biurka, zobaczył ów stemplek na książce i rzekł głośno: „A kto mi tu położył jakieś przecenione gówno...”

Tak, tak, można książki przecenione lekceważyć, ale warto pamiętać, że każdego z nas ktoś tam kiedyś przecenił. Taka to już

profesja, że rzadko się ją docenia i, ale często przecenia.

Skoro już się przyplątało to słowo „przecena”, to warto zacytować „Życie Warszawy”, które tak pisze o Warszawskiej Jesieni Poezji: „Jest to impreza wyjątkowa w skali światowej”. Jak znam życie, to w takie trąby dmie się tylko wówczas, gdy interes podupada. I rzeczywiście. Bo ja, stary Widok, który zbężył na lekturach współczesnej poezji, nie mogę się w informacjach społecznego dziennika doczytać żadnego znaczącego nazwiska.

Wszem, cytuję się obficie w „Życiu Warszawy” Grochowiaka, Drozdowskiego, Borowski, czytamy o Norwidzie, Majakowskim, Jędrzejku... ale gdy gazeta pisze o współczesnych, to dowiadujemy się nie o Jastrun, lecz o panu Kurowskim, nie o Wazyku, lecz o panu Krajewskim, nie o Różewicz, lecz o panu Kocielińskim, który przyjechał z Anglii.

Impreza wyjątkowa w skali światowej. Ale po cenie zniżonej.

WIDOK

## LEWYM OKIEM

# MALUTKIE RETRO

Stwierdzenie, że świat się zmienia — i to w coraz szybszym tempie — jest monstrualnym banałem. Mimo to niektórzy z tych zmian trudno sobie wytlumaczyć postępowo i technicznie, warunkami społeczno-ekonomicznymi, moda czy choćby zmiannami obyczajów.

Odwierzam sobie w wyobraźni zapamiętany doskonale krajobraz mojego dzieciństwa i oto przymiotomina się do przodu, dawno nie istniejąca, choć przecież kiedyś uważana za konieczność, warunkowana fizjologicznie. Czyżby fizjologia również podlegała ewolucji w tak krótkich odstępach czasu? Czy na przykład wydzielanie śliny u osobników ludzkich odbywa się dziś inaczej niż w moich szkolnych latach, kiedy to w każdej klasie stała w rogu przy drzwiach potężna, blaszana sopluzeczka? Nieraz podczas klasówki ktoś z ostatnich ławek wstawiał bez słowa, szedł aż do drzwi, a więc obok groźnego profesora z jego katedra (nie ma już katedr!) i tablicą, sopluzek ostentacyjnie i wracał do roboty. Czynili to zresztą także nauczyciele, niekiedy po wiele godzin w czasie jednej lekcji. Sopluzeczki musiały się znajdować wszędzie, to był nakaz administracyjny: w sklepach, w sadach, w biurach i

magazynach, na klatkach schodowych, w wiezieniach celach (nie byłem, ale pisze o tym Czuchnowski w „Cynku”), w parkach, w poczekalniach, na dworcach i na ulicach. Ludzie ciągle — za orzeszeniem plumi. W regionach zafolowanych — na ziemi i na podłogę, w sferach kulturalniejszych — do specjalnych naczyń. Literatura dzieciętnastawowa i ta z dwudziestolecia międzywojennego — jest sopluzką i zabitych obdług. Na nikim nie czytało to wówczas szczególnego wrażenia. dziś widocznie testem delikatniejsi, skoro nawet na fali retro nie pojawiły się obok żelazek, modźdierz i pogrzebaczy — wieloznaczne, sławne, niezbędne kiedyś do życia — sopluzeczki. Ze świeca też nie znajdziesz dzisiaj producenta czegoś takiego...

Albo — czy jesteśmy dziś silniejsi fizycznie, że nikt niedługo nie „mdleje z wrażenia”? Ostatnia kobieta naprawdę zemłodniała na grobie męża widziała kilkadziesiąt lat temu. Mdleli ludzie spotykający się po latach lub zegnający się na długo, ci co otrzymali zła wiadomość i ci co natrzyli na rzeszy okrutnie. Ktoś mógłby powiedzieć, że ścianki się gorsetami powodowało łatwość zakłoseń w krazeniu,

ale za moich czasów gorsetów już dawno nie było, a mdlało się łatwo i chętnie. Czy można w sobie wytworzyć — bądź dopuścić do wytworzenia się — oduchy mdlenia i nie mdlenia?

Zarówno z własnego domu rodzinnego jak i z sąsiedzkich powracam osób dorosłych pamiętam wielkie celebrowanie sobotniego lub niedzielnego moczenia nóg. O nagięciach i odciśkach mówiło się stale, sklenki pełne były środków pielęgnacyjnych, soli, plasterów. Nie było człowieka dorosłego, który by sobie nie „wycinał korzeni”, sykając przy tym z bólu. Czy mamy wygodniejsze obuwie, czy takie, które też działa destrukcyjnie, ale inaczej: odparza, kuleczy, uczula?

Przepraszam za nieapetyczną reminiscencją, ale jeszcze jeden przykład: jak to się dzieje, że nie ma już dzisiaj usmarkanych dzieci? Było ich mnóstwo — w naszej gromadzie na podwórzu też i w szkole powszechnej (dziś: podstawowej) również. Pamiętam małego Jasia z ciągle wieszoną pod nosami zieloną świeczką, której nie nadał ani wciągać, ani ocierać, ani polykać. Miał od tego łązka się rane nad wargą, a takich Jasiów było zatrzęsienie. Chyba po prostu matki uważały coś takiego za zupełnie głupstwo, nie szły do Kasy Chorych bo kłopot i zażalenie parę groszy kosztuje (u bezbezpiecznych nie kosztowało prawie nic, ale ogromna wielkość — nie była Kasa obłeta), czekały aż smarkacz (to przecież stąd wzięło się właśnie samo to

słowo: smarkacz) wyrośnie. I wyrastał, ale co się nacierniał bólu i wstydu!

„Brzydka panna narzeka na brzydki ból głowy i z brzydkim chłopcem brzydkie prowadzi rozmowy” — pisał święty, a rzadko przypominany satyryk, Świętopelk Karpiński. Ból głowy był powszechną dolegliwością nie tylko „brzydkich dziewczyn”, ale w ogóle pań w każdym wieku. Był niemal wyróżnikiem kobiecej subtelności, wyndało cierpieć na ból głowy, to była odświętna przysmółka w bardzo odważnych a pretensjonalnych domach drobnomieszczańskich. Myśle, że ból głowy ma naturę powściągliwą, czyli — że w przybliżeniu — można go sobie wyobrazić od razu naprawdę odczuwać. Te panie naprawdę cierpiały na ból głowy. Cóż — zmieniły się widocznie kryteria delikatności niewieściej mało się dziś słyszy przechwałek „olei, jak mule głowa boli”, dziś mówi się raczej: „tak się głupio czuję, pewnie ciśnienie, ta pogoda taka” — przy czym mówi się to przy każdej pogodzie.

Cóż — powtórzmy raz jeszcze: świat się zmienia. Niektóre mody wracają. Mielimy nadzieję, że sopluzeczki, odlenia, nastiotki, usmarkane dzieciaki i brzydkie bóle damskich głów bezpowrotnie już ustąpiły i nie wrócą inaczej niż w niepoważnym felle-tonie.

ĆWIEK

## PROPOZYCJE

# UMIŁOWANIE SKRAJNOŚCI

Uczenie się języka obcego za pośrednictwem radia czy telewizji nie jest dziś niczym nowym ani rewelacyjnym. Ale język łaciński w Polskim Radio jest innowacją na skalę światową. Tego jeszcze nie było. Polskie Radio w ogóle ma dobre pomysły i chwala mu za to. Jeśli mam być szczerzy to muszę przyznać, że na przykład relacji z ligowych rozgrywek w piłce nożnej woła słuchać w radio niż oglądać w telewizji. W radio mam bowiem pełny przegląd tego, co dzieje się na wszystkich niemal stadionach.

W telewizji muszę oglądać akurat ten mecz, który dla mnie wybrano, spodziewając się, że będzie to mecz atrakcyjny. Ale czasem okazuje się przeciwnie. Tak było na przykład ubiegłej niedzielę z meczem w Krakowie, gdzie Wisła spotkała się z opolską Odram. Radio jest szybsze, stara się bowiem wygrać konkurencję z telewizją. Radio ma do tego lepsze warunki, nie potrzebuje więc sprzętu co telewizja. Ale telewizja ma nad radem przewagę obrazu.

Pomyślny sopoluzowania języka łacińskiego narodził się jednakże w radio. I bardzo dobrze. Ale kiedy w „Sygnałach dnia” rozmawiano z autorką podręcznika do nauki języka łacińskiego, padły tam znamienne słowa o złotym środku. Język łaciński

jest znakomitą ilustracją naszych zamiarów do skrajności.

Zmowa czasu ludzie biegli w piśmie i nauce doszli do wniosku, że łacina jest balastem i skazała ją na całkowitą zagładę. Prez wygnali ze szkoły. Ale łacina jest językiem dziwnym. Martwym, który ciągle okazuje się niezbędnym. Język ten legł bowiem u podstaw wielu języków nowożytnych. Znajomość tego martwego języka pomaga zrozumieć tajniki również naszego ożywego języka. Znajomość języka łacińskiego — przynajmniej dla humanistów — jest niezbędna, stanowi czynnik utrwalający ciągłość kultury nie tylko europejskiej. O tym wszystkim zaczęto mówić, kiedy okazało się, że wyrugowanie łaciny przyniosło więcej szkody niż pożytku. I powoli łacina wróciła do szkół, przynajmniej niektórych. A teraz, każdy kto będzie miał na to ochotę, może się uczyć języka łacińskiego przez radio.

W „Sygnałach dnia” autorka podręcznika do nauki języka łacińskiego zapytała, czy potrzebne były takie skrajności, czy nie można było znaleźć złotego środka? To znaczy, czy krzątać było przez długie lata skazywać łacine na zapomnienie? Na pytanie to można dziś odpowiedzieć, że nie trzeba było. Ale stało się. Tylko, że takie skrajne podciąganie w życiu społecznym mają

skutki, które dają o sobie znać latami. Wpływają one bowiem na społeczny sposób myślenia. I są trwalsze niż nam się czasem to wydaje.

Bardzo dawno temu ktoś wymyślił powiedzenie, że trzeba być na błędach. Znaczenie duży później ktoś inny doszedł do słusznego wniosku, że można być czyż się bez błędów i że to jest bardziej korzystne. Ale błędów nie popełnia tylko ten, kto nie robi. To prawdziwie w zadanie uprawdopodobnienie dla tych, którzy robią źle. A zjawisko brakobóstwa w różnych dziedzinach życia i w różnej skali nie jest nam przecież obce.

Przez długie lata, przy uciążliwych wysiłkach, wyrobiliśmy sobie nawyk chwaleńcia się. Każdy gdzie tylko może opowiada wszem i wobec każdemu, jak u niego dobrze, jak to on znakomicie pracuje, jakie ma kolosalne osiągnięcia. Nikt jakoś nie jest skory do przyznania się, że to i tamto u niego nawala, że coś szwankuje, że trzeba to gwałtownie poprawić, bo jak nie to „będzie krewa”. Nie udało mi się na przykład spotkać takiego dyrektora, który chciałby się odważnie przyznać do braków i niedociągnięć. Chyba, że w prywatnej rozmowie, z której zawsze później można się wycofać.

Niedawno „Trybuna Ludu”

wysłała kilka telegramów do różnych fabryk w kraju, pytając je właśnie o powody różnych niedociągnięć i braków. Wysłano między innymi telegram i do Warszawskich Zakładów Telewizyjnych z pytaniem o przyczyny złej jakości telewizorów. Z niecierpliwością czekam na odpowiedź dyrektora tych zakładów. A niecierpliwość moja bierze się stąd, że już od dość dawna ZURT sygnował producentom telewizorów, że z jakiegoś nie jest najlepiej, że bardzo dużo napraw trzeba robić w sklepach, przed tym nim telewizor sprzeda się klientowi. Producenti udawali, że „wszystko gra”, że „fajnie jest”, a tylko handlowcy się ich czepiali. I nie tylko producenci telewizorów. Niestety.

Można na życie patrzeć jednostronnie, że tylko jest dobrze, albo że tylko jest źle. Ale takie jednostronne patrzenie na życie wynika z naszego zamilowania do skrajności. I jest fałszywe w obu przypadkach zarówno, świat jest bowiem kolorowy i obok koloru czarnego i różowego są jeszcze inne. Umiejętność jednostronnego widzenia wszystkich kolorów, widzenia świata w jego złożoności i sprzecznościach można byłoby nazwać złotym środkiem. Nie jest to rzecz łatwa, ale konieczna. Przynosi bowiem więcej korzyści niż zamilowania do skrajności.

MARCIN RODAK



## EXPRESS REPORTERÓW

„Express reporterów” zapowiadano w telewizji już przed miesiącem — do księgarń trafiła ta książeczka dopiero obecnie. Jest to cykliczna, miesięczna (miejmy nadzieję) publikacja reporterska. W pierwszym numerze mamy trzy reportaże: Wojciecha Adamieckiego o dramacie w Jaskini Zimnej w Tartach, Jakuba Kopyca o hallowaniu ogromnego doka i Andrzeja Gassa o warszawskich playboyach i niebieskich otakach.

Zarówno sprawy ciekawe jak i nazwiska reporterów wciągające dobrą lekturę. Zespół redagujący „Express reporterów” — to: Zdzisław Kozłowski, Andrzej Kozłowski, Włodek Bogumiński.

„Express reporterów”. Krajowa Agencja Wydawnicza, cena 15 zł.

## WOJNA SIMONOWA

Konstanty Simonow wszedł do literatury radzieckiej jako poeta w latach trzydziestych. W latach 1941—45 był korespondentem wojennym, zdobył popularność liryczną i publicystyczną. „Czekaj mnie, a wrócę zdrow”, jako prozaiak utrwalił swoją sławę głośnymi powieściami o wojnie: „Dni i noce”, „Towarzysze broni”, „Żywi i martwi”, „Nikt nie rodzi się żołnierzem”.

Zanim jednak rozpoczęła się druga wojna światowa i Simonow wyruszył na front, pierwsze swoje kroki wojennego korespondenta stawiał latem 1939 w mało znanej w Europie wojnie radziecko-japońskiej nad rzeką Chalchyn-gol w Mongolii.

Simonow znany jest więc także jako autor reportaży, korespondencji i wspomnień z lat wojny, które w Polsce ukazywały się w trzech zbiorach: „Daleko na wschodzie” (właśnie o Chalchyn-gol), „Decyzje” oraz „Každy dzień jest dług”. Do tego cyklu należy również książka „Od Chalchyn-gol do Berlina”, zawierająca notatki i korespondencje z różnych odcinków frontu w Związku Radzieckim, Polsce, Rumunii, Słowacji, Jugosławii...

Twórczość Simonowa stanowi wspaniałą kronikę drugiej wojny światowej, widzianej nie tylko jako cykl epizodów bojowych, lecz głównie jako próba ludzkich charakterów.

Konstanty Simonow „Od Chalchyn-gol do Berlina”, Książka i Wiedza, cena 35 zł.

## ZERWANE MASKI

Seria „Autentyki” cieszy się zasłużoną sławą, głównie dzięki temu, że prezentuje wspomnienia i zdarzenia autentyczne i pisane autorów niezawodnych — aktorów, piosenkarzy (Pogę), murarzy (Krajewski), — razem jednak zrzegowano z tego niewiarygodnego waloru serii.

Notatki oficera śledczego, Jerzego Romualda Milicza, są po prostu cyklem opowiadań. Jak twierdzi autor, są one „osmutne na ile autentycznych wydarzeń”. To nie nowego — większość polskich „kryminałów” jest po prostu lekturą fabularno-zawodną: relacja z autentycznych wydarzeń. Główny autor informuje nas, że „sposób fabularyzowania jest zróżnicowany”. To też oczywiście.

Bohaterem tej książki, wydanej w serii „Autentyki”, nie jest wcale — jak można by oczekiwać — autor, Jerzy Romuald Milicz, ale literacki bohater Ryszard Janota. Nie jest on także portre parol autor, lecz jest „postać uosabiająca cechy psychiczne i walory moralne oficera milicji”. Mamy zatem do czynienia z literaturą.

Książka Milicza jest standardowa, banalna pozycja z gatunku literatury kryminalno-dydaktycznej i mogła się ukazać wszędzie — od „srebrnego kluczyka” po „serię z jamiłkiem”. W cyklu „Autentyki” zdecydowanie się nie mieści. A jeśli się mieści — to również dobrze mogą tam trafić powieści Jerzego Edigeya.

Jerzy Romuald Milicz „Zerwane maski”, Iskry, cena 31 zł

## WIKTOR HUGO

Przystępując do napisania „Katedry Marii Panny w Paryżu” Wiktor Hugo miał już za sobą przeszło dziesięćdziesiąt lat działalności literackiej. Był już wtedy czolowym pisarzem walczącego romantyzmu.

Książka powieści „średnio-wiekowy Wiktor Hugo nie zamknął się w archiwach, nie odizolował się od otaczającego go świata. Powieść historyczna nie była dlań ucieczką do życia, od palących spraw współczesności. Żadne bowiem dzieło Wiktora Hugo nie powstało w historycznej próżni. Każde wyraża zaangażowanie w sprawę walki o postęp i przyszłość ludzkości.

To zaangażowanie sprawia, że dzieła Wiktora Hugo żyją intensywnym życiem po dzień dzisiejszy. „Katedra Marii Panny w Paryżu”, dzisiaj, po przeszło stu czterdziestu latach od swego powstania, jest demaskatorskim oskarżeniem zabobonu Złotego wieku historii Francji, dziełem silnie bijącym z jej kart realizmu, dzięki ożywiającej ją idei — moc uogólnienia.

Wiktor Hugo „Katedra Marii Panny w Paryżu”, PIW, cena 75 zł.

## DRAMATY

Jako dramaturg, zajął August Strindberg (1849—1912), według porządku chronologicznego, miejsce między Ibsenem a Cechowem, ale wedle porządku wartości miejsce pod pewnymi względami wyższe niż oni — odpowiada bowiem bardziej temu, co niezbyt precyzyjnie nazywa się nowoczesną wręczliwością.

Z powściągliwością Ibsen i Cechow przewyższają Strindberga w kompozycji, pełni rysunku psychologicznego postaci, subtelności symboliki i atmosfery. Ich dzieło, przy wszystkich dzielących je różnicach, jest wyważone, pełne, skończone, a jego dzieła — przeciwnie. Ale jest ono rozmyślnie zrobione na z pozoru klótsce się ze sobą sekwencje, podane wzięte a nie potocznej logice, niezwykle dynamiczne i intensywne, otwarte jako forma dramatyczna. I w tym siła Strindberga.

Jeżeli Ibsen i Cechow, kładąc fundament nowoczesności, posługiwali się budulcem z rozbiórki gmaczu teatru realistycznego — to Strindberg wyszedł do w powietrze. W bardzo wielkim uproszczeniu można by przemianą zasadniczą linii rozwojowej nowoczesnego dramatu od Ibsena do naszych dni ująć w formułę: od obiektywizmu i realizmu do subiektywnego wizerunku artysty.

Strindberg zaszedł na tej drodze najdalej. Jeżeli nawet w najlepszych dramatach Strindberg nie przewyższa Ibsena i Cechowa — jest bliższy naszej wręczliwości i wydaje się nam bardziej historycznie niezbędny niż oni. To jest zapewne stwierdzenie najistotniejsze, gdyż na tej wysokości spór o to, kto jest największy ma niewiele sensu.

W ostatnim czasie fascynacją dziełem Strindberga — także jego prozą — walczy rodznie. Dobrze więc, że w serii „Biblioteki Klasyki Polskiej i Obcej” czytelnik polski otrzymał osiem dramatów — kanon dramaturgii Augusta Strindberga.

August Strindberg „Dramaty”, Wyd. Poznańskie, cena 75 zł.

## WARTO PRZECZYTAĆ

DICK FRANCIS „Zastona dymna”, Czytelnik, cena 30 zł.

MICHAŁ CHOROMANSKI „Memuary”, Wyd. Poznańskie, cena 22 zł.

ZBIGNIEW CHMIELEWSKI, Andrzej Juiewicz „Problemy współczesnego olimpizmu”, SIT, cena 31 zł.

ANDRZEJ BRAUN „Bunt”, PIW, cena 24 zł.

ADAM BAGDAJ „Maski i twarze”, Czytelnik, cena 21 zł.

RANDALL JARRELL „Męczyzna spotyka Kobię”, PIW, cena 21 zł.

ANDRZEJ MANDALIAN „Krajobraz z kometa”, Czytelnik, cena 21 zł.



# magazyn

NOWY SERIAL TELEWIZYJNY

## WOJNA I POKÓJ



26 września 1976 r. telewizja polska rozpoczęła nadawanie nowego angielskiego serialu, zrealizowanego na podstawie znanej powieści Lwa Tołstoja „Wojna i pokój”.

Podobnie jak inne, serial przez kilka miesięcy będzie absorbował wielu miłośników tego rodzaju filmu. Czy jest on wiernym odbiciem utworu tołstojowskiego, czy też dowolna jego adaptacja — trudno na razie orzec. Będzie można to uczynić dopiero po obejrzeniu wszystkich odcinków filmu.

Na razie można tylko przytoczyć pewne dane dotyczące samego utworu. Umożliwi to konfrontację oglądanych odcinków serialu z treścią powieści.

Na wstępie notka biograficzna! Lew Nikołajewicz Tołstoj urodził się w Jasnjej Polanie ( guberni tulskiej) w 1828 r. Pochodził ze starej — namiatającej jeszcze czasów Piotra Wielkiego — arystokratycznej rodziny rosyjskiej. Brał udział w wojnie krymskiej i w walkach o oblężony Sewastopol. W 1856 r. zwołał się z wojska i osiadł na stałe w swoim majątku w Jasnjej Polanie. Tu założył i prowadził eksperymentalną szkołę dla dzieci wiejskich. Tu powstały najważniejsze jego dzieła: „Wojna i pokój”, „Anna Karenina” i inne. W licznych utworach, zarówno w powiściach i dramatach, jak i pismach o tematyce religijnej, filozoficznej i społecznej, atakował z pasją niesprawiedliwość ówczesnego ustroju carskiego, występując przeciwko ziemiaństwu, aparat urzędniczy i cerkiew prawosławna. W 1901 r. synod cerkiewny rzucił klątwę na pisarza. Od tego czasu konflikt z władzami państwowymi i cerkiewnymi ortybierał na siłę. Poróżniony wreszcie z żoną i rodziną, pisarz opuścił tajemniczo Jasnją Polanę i w drodze na południe Rosji ciężko zachorował na zakażenie płuc i zmarł na stacji kolejowej w Ostanowo (w guberni riazaniańskiej) w 1910 r.

W serialu występuje ponad tysiąc wykonawców. W takim ciągu zmieniającym się — jak w kalejdoskopie — tłumie, trudno się zorientować, kto jest kto i w jakim stosunku do siebie i do świata pozostał. Dla orientacji podaliśmy bodaj w skrócie charakterystykę głównych postaci filmu. Reprezentują one orzecze wszystkim 4 moźne rody rosyjskie: Bolkońskich, Biezuchowów, Rostowów i Kuragina.

Początek rodziny ka. Bolkońskich otwiera sędziwy Mikołaj b. oficer carski, wielki entuzjasta strategii Suworowa i nieprzejednany wróg Napoleona

a gdy tylko zagoja się rany, jest tak samo szczęśliwy, jak przedtem. Oczywiście takie wywody odstręczał Biezuchowa od dalszych odwiedzin i rozmów z przyjacielem.

Po pewnym czasie Bolkoński na jednym z balów dworskich poznał piękną Nataszę Rostowową. Zakochał się w niej i oświadczył o jej ręce. Został przyjęty z radością. Na życzenie ojca ślubu została odłożona na jeden rok. W ciągu tego czasu Andrzej miał się leczyć za granicą. Po wyjeździe narzeczonego Natasza poznała brata przyjaciółki Heleny — oficera Anatola Kuragina. Zakochała się w nim i zgodziła się na wyjazd z ukochanym za granicę. Zawiadomiony o całej sprawie Bolkoński powrócił do kraju i zerwał zaręczyny z Nataszą. Zrozpaczonego powrócił znowu do wojska i został przydzielony do sztabu naczelnego dowódcy Kutuzowa. Przechodził kampanie 1812 r. W bitwie pod Borodino znowu zostaje ciężko ranny. Powraca do Moskwy i tu spotyka się z Nataszą. Następuje zbliżenie obojga. Postanawiają się poobrać. Ale ciągle postępująca choroba kładzie kres życiu Bolkońskiego. Umiera po powrocie z Moskwy do Jarosławia.

Drugim — po Andrzeju Bolkońskim — bohaterem powieści i serialu jest Piotr Biezuchowa. Był synem z nieprawego łoża hr. Biezuchowa, który umierał. Został zapisany na wychowanie do sierotnicy. W wieku 14 lat został przyjęty do rodziny Kuraginów. Był prawdziwym i nie zniósł ceregieli dworskich. Wbrew swojej woli poślubił siostrę przyjaciela Anatola Kuragina — Helenę. Była wprawdzie piękna, ale bardzo ograniczona. Dlatego zwlekał z zawarciem z nią małżeństwa. Ale później, pod silną presją jej ojca, Wasyla poślubił ją. Nie był z nią szczęśliwy. Nie kochał jej. Po poedyktu z oficerem Dolochowem, który był jednym z jej kochanków, zerwał z żoną i przeniósł się do Moskwy. Uprzątnął do świata i odtąd nie wrócił do wojska. W Petersburgu i pod jej wpływem w swoim majątku w guberni kijowskiej zaczął wprowadzać w czyn wskazania wolnomularskie. Zadał od rządów, by nie obciążali chłopów zbyt ciężką pracą, kobiety i dzieci zwalniali z robót, chłopom okazwali pomoc, nie stosowali kar cielesnych, budowali w każdym majątku szpitale, ochronki, szkoły. Cieszył się, że witano go wszędzie radośnie. Ale nie zdawał sobie sprawy, że kobiety zwalniane od robót, musiały w domu odrabiać uciążliwsze prace, że pan, który witał go krzyżem, obciążał chłopów daninami, że murowane budynki wznoszone były przez miejscowych robotników i powiększały pańszczyznę chłopów, że tam, gdzie rzadca wykazywał w księdze zmniejszenie daniny o 13, powiększano w dwóch innych pracach pańszczyznianą. Ale Biezuchowa nie wiedział o tym wszystkim i był zadowolony ze swej filantropii.

Po pewnym czasie uprzylił się do masonów. Poznał ich w życiu prywatnym jako ludzi słabych i bezwartościowych. Ubiegali się tylko o karierę i zaszczyty, a przychylali ich do związku tylko tajemnicze formy zewnętrzne organizacji. Na razie nie zrywał jeszcze z braćmi, ale postanowił poznać cele i zadania wolnomularzy w innych krajach. W tym celu zwiedził liczne loże wolnomularskie za granicą. Po powrocie do kraju połączył się swoimi wrażeniami z braćmi petersburskimi. Wskazał na wielką użyteczność zasad i zadań, jakie realizują u siebie inne loże wolnomularskie. W jaki sposób należałoby je wprowadzić tu — w Rosji? Czy przez obalenie niesprawiedliwego ustroju społecznego i sprzyłanie wszelkim ruchom rewolucyjnym? Nie! — padła odpowiedź wielkiego mistrza i brać — Nie tędy droga! Należy najpierw siebie odrodzić, a później wliwać na odrodzenie innych. To znaczy, żyć w gronie rodziny i pracować dla państwa. Piotr posłuchał tej rady: połączył się z Heleną a dom jego stał się miejscem spotkań wysokich dygnitarzy carskich. Po pewnym czasie widząc, iż wzniósł zasady, które wyznaczał masoni petersburscy, sa tylko czynili z siebie i majątek dla obrony kraju przed najazdem francuskim. Dla potrzeb frontu uzbudził własnym kosztem tysiąc ludzi i odbył wędrowkę po rozległych terenach frontu. Był świadkiem bitwy pod Borodino. W Moskwie postanowił zabić tyrana Rosji, którego przedtem był uwielbiał — Napoleona. Plan ten jednak nie udał się. Oto stał w obronie napadniętej Rosjanki i rzucił się na mordercę francuskiego. W tej samej chwili obezwładnił go patrol francuski. Groziła mu kara śmierci. W ostatniej chwili jednak, kiedy stał przed plutonem egzekucyjnym, został uwolniony i przydzielony do grupy jeńców. Razem z armią francuską opuścił Moskwę. W rozmowie z chłopem — żołnierzem Platonem Kuznetiewem, z którym dzielił niewolę francuską, poznał sens i cel bytowania. Jest nim życie „po Bożemu z trudu ręk własnych, z poświęceniem dla bliźnich, z ukochanym przyrodą, ludzi i zwierząt”. Razem z armią francuską opuścił Moskwę. Z niewoli uwolnił go oddział par-

tyzancki Denisowa. Powrócił do stolicy i ożenił się z Nataszą Rostowową. Bardzo liczna grupa osób, występujących w powieści i serialu, stanowi rodzina ks. Rostowów. Tworzyli ją starzy Rostowowie i 12-letnie dzieci. Najwięcej miejsca w powieści poświęca autor Nataszy Rostowej. Jest ona — obok Andrzeja Bolkońskiego i Piotra Biezuchowa — jednym z głównych bohaterów serialu. Początkowo podkochuje się w Borysie Drubieckim i w Anatolu Kuragine. Dla tego ostatniego decyduje się nawet na zerwanie zaręczyn z Bolkońskim i na wyjazd za granicę. Dopiero pod wpływem szczerzej rozmowy z Biezuchowym, w której dowiaduje się o hulaszczym życiu Anatola, poznała swój błąd i postanawia powrócić do Bolkońskiego. Spotyka go ciężko rannego w Moskwie, prosi o przebaczenie i pielęgnuje go przez cały czas choroby. Po śmierci Andrzeja wychodzi za żonę za Biezuchowa.

Prócz Nataszy, występuje w powieści jej rodzeństwo: brat junkier Mikołaj, dowódca szwadronu huzarów pawłogrodzkich, który po wielu berypetach miłosnych, żeni się z siostrą Andrzeja Bolkońskiego — Marią, siostra Wiera (wychodzi za żonę za porucznika Berga); najmłodszy 15-letni brat Pietia, który zaciąga się na ochotnika do wojska i ginie w potyczce z Francuzami. Rodzinie Rostowów uzupełnia cicha i łagodna Sonia, darzona głębokim uczuciem kuzyna Mikołaja. Z występującej w powieści czwartej rodziny Kuraginów, Tolstoj stosunkowo mało miejsca poświęca dzieciom Wasyla: wydanej za żonę za Biezuchowa córce Helenie, utraczonej w dzieciństwie synowi Anatolowi, sekretarzowi poselstwa rosyjskiego w Bernie przy rządzie austriackim Hipolitowi i córce Julii. Do głównych bohaterów powieści i serialu zaliczyć można także głównodowodzącego wojsk rosyjskich w wojnie z Napoleonem, feldmarszałka Michała Kutuzowa (1745—1813). Tolstoj obdarza go największą sympatią i szacunkiem. Jego swoista strategia wojenna, polegająca na odwrocie wojsk rosyjskich przed Francuzami, zwalczana zarówno przez cara Aleksandra I, jak i większość generałów, w końcowym etapie wojny przyniosła zwycięstwo Rosji a samotna klęska Napoleona. Najpierw wydał bitwę pod Borodino, która tak osłabiła armię Napoleona, iż ten nie odważył się na wydatanie nowej bitwy Rosjanom. Wbrew woli de Tolly'ego, Bagrationa, Rastopczyna i innych dowódców rosyjskich, Kutuzow oddał Napoleonowi Moskwę bez bitwy i wycofał wojska poza stolicę. Gdy Napoleon przez wasia Lavistona proponował zawarcie pokoju, Kutuzow odpowiedział: „Bądźmy orzekliwy, przez potamość, gdyby mnie uważano za inicjatora jakiegokolwiek porozumienia, taki jest obecnie duch mojego narodu”. Car Aleksander I w listach do Kutuzowa domagał się uderzenia na wroga. Tego samego zdania byli inni generałowie, niechętni feldmarszałkowi. Car, który dowodził armią rosyjską w Petersburgu, wysłał nawet plan natarcia na Francuzów. Kutuzow jednak zwlekał z uderzeniem. Zdawał sobie sprawę, że wróg sam siebie zgubi, a uderzy tylko wtedy, kiedy będzie dogorywał. Nie chciał narażać na śmierć ani jednego żołnierza rosyjskiego. Nawet wtedy, kiedy Napoleon opuścił Moskwę, „wlekał z wydatkiem bitwy. Dopiero kiedy wycieńczona z zimna i głodu, nekana ustawnie przez rosyjskie oddziały partyzanckie, kilkudziesięciotysięczna armia francuska stanęła nad Berezyną, wojska Kutuzowa uderzyły na przepierających się przez rzekę Francuzów i zadały im ostateczną klęskę. Bohaterskiemu feldmarszałkowi Kutuzowowi przeciwstawił Tolstoj Napoleona. Przedstawiał go zawsze jako pewnego siebie zwycięzcy. W bitwie pod Borodino „wydał plan bitwy, której nie mógł wygrać. Ustalał pozycje baterii, których strzały nie miały osiągnąć wroga. Przegrana bitwy była dla niego niespodzianką. Sądził, iż Moskwa upokorzy się przed nim, iż żołnierze uderzą orzeł nim czolem: Na próżno oczekiwał denuncjacji szlachty. Moskwa była pusta. Pozostali w niej tylko bami, grabieżcy sklepy i oljacy. Napoleon w Moskwie stracił zupełnie głowę. Zamiast przygotować odzież i żywność dla armii, był mógł przebyć zime, pozwał żołnierzom grabić i w ten sposób przyspieszał swoją zagładę”. „Wojna i pokój” Lwa Tołstoja była kilkakrotnie sfilmowana przez takich wybitnych reżyserów, jak King Vidor, Sergiusz Bondarczuk. Obecny 20-odcinkowy serial angielski jest dziełem twórcy wyświatłego już u nas serialu „Elżbieta, królowa Anglii” — Johna Davisa. Odtwórcami głównych ról obecności serialu są: Allan Dobie w roli Andrzeja Bolkońskiego, Anthony Hopkins — Piotra Biezuchowa i Morag Hood — Nataszy Rostowowej.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

## BOHDAN PIĄTKOWSKI POD PANTOFLEM

— Ekspedientka wrzuciła ramionami i powiedziała:

— Zdawałoby się, że człowiek z paną w miarę uświadomiony, a takiej prostej rzeczy pan nie rozumie, że nie wolno marketnie stać przy ladzie i swoim przykładem zniechęcać klientów. Kraj się stara, odrabia zaległości, podnosi pracownikom pensje, buduje się, w ogóle przechodzi na metodę DO-RO, a pan tu nosem kręci nad produktem państwowym.

Było mi coraz bardziej nieprzyjemnie.

— Widzi pani — tłumaczyłem cierpliwie — z tych sześciu par butów wszystkie są na mnie za ciasne w pięcie.

— Niech się pan wobec tego skontaktuje z ortopedą. Może jakieś wkładki panu wymyśli, może zabieg, może naświetlanie... zresztą, bo ja wiem...

— Co też pani mówi! — zdziwiłem się. — Dotąd znajdowałem dla siebie obuwie.

— To było dawniej. Dziś proszę pana, aproksymatywna typizacja i standaryzacja obowiązuje w całym pionie. Elektryczny mózg rysuje fasony, cybernetyczna papuga wyciąga model i automat szyje. Ale tylko rozmiary typowe.

— Przecież ja jestem typowy — powiedziałem łamiącym się głosem, niepomny, że dotąd najbardziej cenilem sobie opinię dam: „Ty jesteś taki inny”.

Sprzedawczyni zmarszczyła się.

— Już tam maszyna lepiej wie, kto jest typowy. Skończyły się te czasy, kiedy były kto przychodził sobie do sklepu i grymasił. Czy pan wie, czyja stopa była brana za model „ósemki”?

Wolałem nie zgadywać, ale na wszelki wypadek przestraszyłem się.



Fot. Archiwum

Ledwie wyrosło dziewczę boże, a już mikrofon chwycił chwył! Już PAGART chce ją stać za morze, już jej się marzy „Złota Płyta”.

W wywiadzie informuje mądrze, iż dała koncert pod Głzyckiem, lecz nie sżlagery śpiewa, skądże, jeno „piosenki poetyckie”!

Biedny Tuwimie i Leśmianie! Na żywe tkance waszych wierszy dziewczę uprawia swe śpiewanie w wyniku „przeżył swych najszczerzych”.

Kroi się strofy, zmienia rymy, wybiera to, co ucho lechce. W ten prosty sposób, jak widzimy, niebawem ma co kwilić dziewczę.

Gdy ktoś podważy owe gusta, to mól dumnie: „A Demarczyk?” I stró miny znowu do lustra, patrząc, czy biustu jej wystarczy.

I tak „poezja” nam się kłębi, wsparta recenzją i zaszczytem, pod pozorami wielkiej głębi dno osiągnąca całkowite.

## WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI POETYCKIE DZIEWCZĘ